

**Sandra Field**

**Słońce w środku nocy**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

To było coś zachwycającego. To był prawdziwy raj na ziemi.

Kathrin Selby uśmiechnęła się do siebie. Tylko nieliczni skłonni byliby porównać widok, jaki rozciągał się wokół, do arkadii. Przytłaczającej większości kojarzyłyby się on raczej z piekłem. Ona jednak była pod wrażeniem jego osobliwego piękna.

Rozsiadła się wygodniej na potężnym, nagrzanym przez słońce głazie i wsparła brodę na dłoniach. Przypominała w tej chwili samotnego widza w teatrze natury. Widownią był tu grzbiet niewielkiego skalistego wzniesienia, sceną zaś tundrowy obszar dalekiej północy. Na wprost leżała rozległa dolina, wysłana kobiercem z traw, mchów i porostów, zamknięta szarożółtym, piarżystym płaskowyżem, nad którym żeglowały po niebie podświetlone słońcem pierzaste obłoki. Patrząc do tyłu w prawo, widziało się następną dolinę, oddzieloną od tamtej garbem porośniętym krzewinkami i przeciętą wzdłuż srebrzystą wstęgą strumienia, wypływającego z pokrytych wiecznym śniegiem gór. Tam, za tamtymi kamienistymi wzgórzami, znajdował się obóz, w którym ona, Kathrin, wraz z kilkoma kolegami naukowcami, miała swoją bazę wypadową. Lecz w najbliższym sąsiedztwie nie było widać śladu żywej duszy. Jedyne obecne w polu widzenia stworzenia było stadko reniferów, pasące się w dolinie na wprost.

Kathrin śledziła je już od dobrych pięciu dni, robiąc notatki i dość często sięgając po kamerę filmową. Przewodnika stada, samca o potężnie rozgałęzionych rosochach, nazwała zdrobniałym imieniem Szefunio. Miał nieładny zwyczaj odganiania samic od miejsc zasobnych w co bardziej soczystą trawę i bogatych w zioła. Sięgnęła po lornetkę i nacelowwała ją na Szefunia. Miał ciemnoszaro-brunatne owłosienie, krępą głowę i silne nogi, wyposażone w niezwykle szerokie racice. Długość jego tułowia wynosiła co najmniej dwa metry, a wysokość w kłębie niemal półtora. Przed setkami lat byłby więc poważnym zagrożeniem dla prymitywnie uzbrojonego myśliwego.

Wiatr poruszał grzywą rena, znajdującą się w dolnej części jego szyi, i przeczesał jego bardzo gęstą sierść, chroniącą zwierzę przed przemoknięciem. Szefunio oskubywał w tej chwili gałązki karłowatej wiotkiej wierzby, jedyne drzewka, zdawałoby się, rosnącego w tej północnej krainie.

Dziewczyna odciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma, a do obozu miała pełne trzy godziny drogi. Żywność skończyła się, więc musiała wracać. Czyniła to niechętnie, rozsmakowana w samotności i w tej dość oszczędnej letnią porą palecie barw tundry. Niechętnie też rozstawała się z reniferami, które podczas tych dni obserwacji tak dobrze poznała i polubiła. Szefunio, trzy jego małżonki, dwie jałówki i dwa cielaki – całe to towarzystwo przemierzało tundrę w poszukiwaniu trawy i soczystych ziół alpejskich. Samice poruszały się ze spokojną gracją, podczas gdy cielęta skakały, jakby miały sprężyny w kopytkach.

Poczuła przypływ szczęścia. W wieku dwudziestu czterech lat osiągnęła swój cel, znalazła swoje miejsce na ziemi. Wykonywała pracę, którą kochała. Otaczała ją kraina, której pustka i kolorystyka przemawiała do jej duszy. Niewielu ludzi było tak szczęśliwych. Wstała i wciągnęła w płuca chłodne, czyste powietrze. Szefunio uniósł łeb, lekko zaniepokojony. Nerwowo uderzył kopytem o ziemię. W chwilę potem jednak uspokoił się i znów zaczął skubać wierzbowe listki.

Kathrin powoli odwróciła się i poszła w kierunku widocznego nie opodal żółtego namiotu, niziutkiej pojedynki. Nie będzie go zwijać i zabierać ze sobą, gdyż planowała wrócić tu już jutro. Spakowała więc do plecaka tylko brudne rzeczy oraz sprzęt fotograficzny i ruszyła w drogę. Dobiegł jej uszu żaloszny okrzyk siewki, jak gdyby ptak skarżył się, że go zostawia. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu poczuła lzy pod powiekami. Opuszczała miejsce, gdzie była tak bardzo szczęśliwa.

Zatrzymała się i przez chwilę stała nieruchomo. Przeczyste niebo z białoróżowymi

obłokami na horyzoncie, renifery rzucające długie cienie na łąkę, barwa skalistego podłoża i krzyk ptaka – wszystko to tak głęboko zapadło w jej duszę, że tundra i ona stały się jednością.

Siewka ponowiła okrzyk i czar prysł. Kathrin wstąpiła na lekko wznoszącą się kamienistą ścieżkę. Najkrótsza droga do obozu wiodła przez grzbiet niewielkiego wzgórza, a potem wzdłuż strumienia. Miała nadzieję, że znajdzie się dla niej jakaś kolacja. A może nawet Garry Morrison napalił w saunie. Po pięciu dniach biwakowania w surowych warunkach marzyła o gorącej wodzie, mydle i szamponie.

Kroczyła lekko, pewnie stawiając swoje długie nogi.

Osiągnąwszy grzbiet, zaczęła spuszczać się w dolinę. Po trzech kwadransach weszła na teren mokradeł i błot. Pod stopami zaczęło chłupotać. Równocześnie wzmógł się szum strumienia. Zasilały go śniegi górskich szczytów. Woda w strumieniu była niezwykle czysta i zimna. Nigdy takiej nie piła. Usiana kwitnącymi ziołami łąka przypominała wzorzysty kobierzec.

Trwało krótkie arktyczne lato – barwna szczelina w bieli zalegającej te obszary przez większą część roku. Tylko latem można było zorganizować naukową wyprawę, zważywszy, że w tym wypadku chodziło o obserwację zwierząt i ptaków. Rozlokowali się obozowiskiem na zachodnim brzegu Hearne Island, u północnych wybrzeży Kanady. Obóz, jako taki, nie sprawiał imponującego wrażenia – skupisko namiotów oraz obitych paździerzowymi płytami baraków, wszystko w jaskrawych kolorach, ażeby piloci nie mieli kłopotów z nakierowaniem na cel. Teraz, ze szczytu kolejnego wzniesienia, Kathrin mogła już zauważyć pomarańczową plamę budynku radiostacji oraz błękitną plamę swej własnej chatki. Bezwiednie uśmiechnęła się. Wiedziała, że tam oczekiwali jej powrotu koledzy. Wprawdzie ceniła sobie samotność, ale lubiła też od czasu do czasu porozmawiać, a rozmowa z reniferem wydawała się raczej niemożliwa.

Mimo że rozróżniała już poszczególne budynki, wiedziała, iż pozbawione jakichkolwiek zanieczyszczeń powietrze skraca perspektywę i że marsz zajmie jej jeszcze ponad godzinę. Poza tym nie było tu drzew, tak bardzo przydatnych w operowaniu skalą odległości.

Wkroczyła na teren usiany jeziorkami i małymi oczkami wodnymi. Pełno tu było wszelakiego rodzaju ptactwa, ale wzrok Kathrin biegł ku obozowisku. Cieszyła perspektywa zobaczenia Pam, Garry'ego, Karla i Calvina, a jeszcze bardziej myśl o powrocie do domu. Zdumiało i zaskoczyło ją to słowo. Jak to się stało, iż wystarczył miesiąc, by skupisko baraków i namiotów zaczęła nazywać własnym domem?

Gdzie był jej prawdziwy dom?

Odkąd opuściła Thorndean...

Thorndean... Wspominając tę ceglana, okazała rezydencję, gdzie jej matka pracowała jako gospodyni i gdzie ona z dziecka stała się dorosłą panną, Kathrin nie mogła nie pomyśleć o dwóch młodych mężczyznach, którzy w sposób tak nieodwołalny i zgubny ukształtowali jej życie. Ivor i Jud. Przyrodni bracia, synowie właściciela Thorndean. Ivor, którego kochała, oraz Jud, któremu ufała...

Nie widziała ich od siedmiu lat.

Potknęła się na jakimś kamieniu i tylko dzięki wysportowanemu ciału udało się jej nie upaść. Znajdowała się dwie godziny lotu od najbliższego szpitala. Musiała o tym pamiętać. Nie mogła pozwolić sobie na żadną nieuwagę bądź lekkomyślność.

Przeszłość była przeszłością. Co było, przeminęło i już nigdy nie wróci.

Kathrin usiłowała teraz skupić myśli wyłącznie na ciepłym posiłku i wygodnym łóżku. Karimata, która służyła jej za łóżko przez ostatnie pięć dni, nie była sprężystym materacem, co, nawiasem mówiąc, od początku wzięte zostało w rachubę.

Zresztą w czasie tej wyprawy w pojedynkę nie spała wiele. Hearne Island znajdowała się już za kołem podbiegunowym i słońce bardziej krążyło tu nad horyzontem, niż toczyło się po niebie ze wschodu na zachód. Wzgórza i doliny skąpane były w niegasnącym świetle.

Dni nie miały początku i kresu, zlewając się w zachwycającą pełnię czasu. Skąpiła więc sobie snu, wołąc podążać za stadkiem reniferów i regenerując siły krótkimi drzemkami. Nie miała do stracenia ani godziny. Za kilka tygodni skończy się lato i będzie musiała wraz z innymi uczestnikami wyprawy wracać do Calgary, by opracować zebrany tu materiał. Po owalnym stawie po prawej pływało stadko nurów, ptaków wodnych o czerwonych szyjach, ostro zakończonych dziobach i krótkich skrzydłach. Na jej widok wydały ostrzegawczy sygnał, dźwięk wręcz niesamowity, jakby żałobny. Ostrożnie ominęła ich ukryte w szuwarach gniazda.

Na tle nieba czerniły się klify Whale Island. Garry obiecywał, że któregoś dnia zabierze ją tam, razem z Pam. Smutną atrakcją wyspy były dawne obozowiska wielorybników, usiane kośćmi waleni pomordowanych w przeciągu minionych stuleci. Podnosiły natomiast na duchu uczone skały gniazda białozorów islandzkich, niezwykle rzadkich białopiórych drapieżników dalekiej północy.

Kathrin przekroczyła granicę obozowiska. Była piekielnie głodna. Ssała ją w żołądku, a ślina miała gorzki posmak. Liczyła, że Pam, dziewczyna Garry'ego, która robiła tu za kucharkę, poczęstuje ją jakąś pachnącą smakowitością. Wreszcie prawdziwe żarcie, zamiast tych skąpych suszonych racji, pomyślała sennie.

Barak, który spełniał potrójną rolę: kuchni, jadalni i biblioteki, pomalowany był na kolor jaskrawo-pomarańczowy. Kathrin pchnęła drzwi ganku, zrzuciła plecak na podłogę i oparła się plecami o ścianę. Chwilę odpoczywała, wsłuchując się w śmiechy i głosy dobiegające ze środka.

Następnie uwolniła stopy z gumowych butów z cholewami i w samych skarpetach weszła do jadalni.

Uderzyła w nią fala gorąca. Zdjęła więc kurtkę i ściągnęła z głowy wełnianą narciarską czapkę z pomponem. Uwolnione włosy opadły w artystycznym nieładzie na jej policzki i ramiona.

Wciągnęła nosem powietrze.

– Mam nadzieję, chłopaki, że zostawiliście mi coś do żarcia.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

– Owszem, zostało tego tyle, że na pewno zdołasz zaspokoić swój apetyt – odparł Karl w swojej nienaganej, wyuczonej angielszczyźnie.

– Nie znajdziesz ani okruszyny – powiedział Calvin. – Zresztą i tak jesteś za gruba.

Pam parsknęła śmiechem. Pasjonowała się swoim kucharzeniem, a dowodem tego była między innymi jej pulchna sylwetka. Szczerze zazdrościła Kathrin, że ta potrafi nakładać sobie pełne talerze i mimo to zachowywać idealną linię.

– Zaraz podgrzeję ci kolację – powiedziała, podrywając się zza stołu. – Potrwa to tylko chwilę.

Karl był wysokim i chudym okularnikiem, niesamowicie mądrym i śmiertelnie poważnym. Przyjechał ze Szwecji w ramach wymiany naukowej. Calvin, grubasek niskiego wzrostu, a więc zupełne przeciwieństwo Karla, kochał piękne kobiety oraz płatanie komuś figli, niekoniecznie zresztą w tej kolejności. Odgrywał rolę zakochanego do obłędu w Kathrin, a szczególnie w jej ciemnych oczach i kasztanowatych włosach. A jednak, nawet dzieląc z nim namiot gdzieś w leśnej głuszy, Kathrin wiedziałaby, iż z jego strony nie grozi jej żadne napastowanie. Bardzo go lubiła.

– Myślałam, że zbierasz próbki glonów na mokradłach – powiedziała, siadając za stołem.

– Przemoczyłem skarpetki i wróciłem, żeby je wysuszyć. A jak twoje reny arktyczne?

Kathrin, której upał panujący w pomieszczeniu coraz bardziej dawał się we znaki, ściągnęła przez głowę sweter. Teraz jej włosy pięknie kontrastowały z zieloną koszulą.

– Są cudowne! Obserwowałam je przez pięć dni i zamierzam wrócić do nich już jutro. –

Uchwyciła spojrzenie Garry'ego, który stał przy piecu i skubał swoją brodę.

– Oczywiście pod warunkiem, że uda mi się zakosztować dziś sauny.

– Nie ma sprawy – rzekł Garry. – Już moja w tym głowa, żebyś wypociła cały ten pięciodniowy brud. A co do powrotu w tundrę, to chyba będziesz miała towarzysza. On również interesuje się reniferami.

Uniosła pytająco brwi. Czyżby minione pięć dni miały być ostatnimi dniami rozkosznej samotności?

W tym momencie doleciał ją z tyłu jakiś męski głos.

– Cześć, Kit.

Tylko jeden człowiek na świecie używał w stosunku do niej tego zdrobnienia.

Ożyła cała przeszłość. Kathrin wzdrygnęła się i zacisnęła dłonie. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. To musiał być sen. Za chwilę obudzi się i przekona, że leży w śpiworze w swoim żółtym namiocie, a z zewnątrz dochodzą odgłosy letniego arktycznego życia.

To nie mogło być prawdą. Skąd na tym krańcu świata mógłby się znaleźć Jud?

Powoli, bardzo powoli odwróciła głowę. Jej spojrzenie przebiegło po zdumionych twarzach Karla i Calvina.

Tamten człowiek siedział na krześle w kącie pomieszczenia. Zatknięte za pasek u spodni kciuki nadawały mu trochę nonszalancki, trochę cwaniacki wygląd. Patrzył prosto w jej oczy.

Poznała go natychmiast, mimo że zmienił się ogromnie przez te siedem lat. Przeszył ją zimny dreszcz. Błękitna otchłań jego oczu wionęła lodowatym chłodem. Nikt poza Judem nie miał takich oczu – w kolorze farbki do prania, niesamowicie niebieskich. Efekt był taki, jakby w powleczonym cienką warstewką lodu górskim jeziorze przeglądało się pogodne niebo.

– Jud... Jud Leighton? – wybąkała. Pam postawiła przed nią parujący talerz.

– Twoja kolacja.

Kolacja była wybawieniem. Kathrin odwróciła wzrok od koszmaru, który ujrzała. Tam siedział Jud, nie zaś Ivor, a właśnie Ivor, którego niegdyś kochała, powinien był w niej wzbudzić tę burzę uczuć, która się w niej rozszalała. Jud zmaterializował się przed nią w miejscu oddalonym od Thomdean o tysiące kilometrów i tylko to właściwie powinno ją poruszyć – sama niezwykłość, wręcz fantastyczność tego spotkania. Więc dlaczego zachowuje się, jakby zobaczyła potwora?

Ponieważ zdrada Juda była ohydniejsza od zdrady Ivora. Po stokroć ohydniejsza. Z taką wyrazistością i mocą uświadomiła to sobie dopiero w tej chwili. Niespodziewane i niemal zagadkowe pojawienie się Juda otworzyło, zdawałoby się, już dawno zabliznione rany. Zranili, skrzywdzili i udręczyli ją obaj, ale Jud zrobił to z większym okrucieństwem.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytała Pam, a w jej szarych oczach malował się niepokój. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. – Odwróciła się ku Judowi i z jej oczu znikły troska i ciepło. – Nie powiedziałaś nam, że znasz Kathrin.

Jud, który siedział z nogami opartymi na sąsiednim krześle, spuścił je teraz na podłogę.

– Chciałem się najpierw upewnić. W Kanadzie żyje z pewnością niejedna Kathrin Selby. Kathrin przeszył płomień gniewu.

– Daj spokój, Jud. Więcej niż jedna z ciemnobrązowymi oczami i rudymi włosami, która uwielbia odludzie i dzikie zwierzęta? Komu ty będziesz prawil dyrdymałki?

– Przeceniasz siebie. Nie pytałem o szczegóły. Gdy usłyszałem twoje imię i nazwisko, postanowiłem czekać na chwilę, gdy wrócisz do obozu.

Mówił głosem tak gładkim, jak ta jedwabna chustka na głowę, którą podarował jej na szesnaste urodziny. Ale pod tą układną powłoką, wiedziała to, roznosiła go wściekłość. Choć, prawdę mówiąc, nie miał powodu być wściekły. To ostatecznie ona została skrzywdzona.

I wróciła wzburzoną falą udręka siedemnastoletniej dziewczyny, której nagle zapadła się ziemia pod nogami. Musiała jak najprędzej się z tego otrząsnąć. Patrzyli na nią jej

przyjaciele. Nie mogła stawiać ich w tak niezręcznej sytuacji.

Jednak nie bez powodu się mówi, że lustrem człowieczej duszy jest twarz. A na jej twarzy malowały się udręka i strach.

Pam wciąż stała bezradnie naprzeciwko Kathrin, podczas gdy Garry, Karl i Calvin siedzieli w milczeniu ze spuszczoneymi oczami, skrępowani i jakby naburmuszeni.

Kathrin pierwsza zdecydowała się przerwać zalegającą nieprzyjemną ciszę.

– Jeśli macie dziś ochotę na pierwszy odcinek mydlanej opery, to posłuchajcie... Jud i ja wyrosliśmy w jednym domu, rozstaliśmy się w okolicznościach, do jakich chyba nikt nie chciałby wracać myślami, po czym nie widzieliśmy się przez siedem lat. – Spojrzała na Calvina. – To wszystko, co usłyszycie ode mnie. Dalszych odcinków nie będzie. –

Przeniosła wzrok na Pam. – Pachnie zachwycająco.

Na talerzu rumieniła się sporych rozmiarów porcja kurczaka uzupełniona groszkiem z puszki i przysmażanymi ziemniakami. Kathrin zaatakowała to wszystko ze sztuczną łapczywością. Kompletnie straciła apetyt.

Garry, bezradny jak dziecko w sferze silnych emocji, powiedział wstając:

– Przygotuję ci saunę.

Opuścił stołówkę tak szybko, jakby co najmniej wezwany został do pożaru.

Pam dosiadła się do Kathrin i jęła opowiadać jej o codziennych wieczornych wizytach polarnego lisa, którego sumiennie dokarmiała. Calvin i Karl rozmawiali o czymś tam z Judem. Kathrin żuła i przelykała. W pewnym momencie, tłumiąc wewnętrzny śmiech, który mógł zaraz przemienić się w atak hysterii, stwierdziła w duchu, że do dawnych win Juda należy dodać zepsucie jej pierwszego prawdziwego posiłku po tylu dniach żywienia się sucharami i mięsem z puszki.

Kiedy Pam udała się do kuchni po kawę, Kathrin ujrzała naprzeciwko siebie Juda. Odnosił talerz, kubek i sztućce, bo, zaiste, nie było tu kelnerów. Miał bardzo długie nogi, można by rzec, był samymi nogami. Poruszał się z pełnym lekkości wdziękiem, który charakteryzował go już jako chłopca. Zawsze był szczupły i wąski w biodrach, lecz Kathrin nie pamiętała, by dawniej miał tak szerokie ramiona. Intuicja podpowiadała jej, że potrafiłby skoczyć przeciwnikowi do gardła z szybkością i zwinnością jaguara. To więzienie uczyniło go czujnym i jakby kocim w ruchach, pomyślała, wpatrując się w smętne resztki ziemniaków na talerzu.

Pam postawiła przed nią kubek z kawą i talerzyk z okazałą porcją szarlotki, po czym usiadła na poprzednim miejscu.

– Nie przeraża cię ta samotność w tundrze?

– Uwielbiam samotność, a bezdrzewna, jak gdyby ascetyczna tundra jest dla niej najlepszą oprawą.

Nagle przypomniała sobie słowa Garry'ego. Jeśli on nadal myśli, że ona wybierze się w drogę powrotną z Judem u swego boku, to chyba postradał zmysły. Jud obserwujący każdy jej ruch, Jud śpiący w namiocie tuż obok, Jud siedzący z nią przy spirytusowej maszynie – to była koszmarna perspektywa. Wolalaby raczej umrzeć, niż znaleźć się w takim położeniu. I im szybciej Garry to zrozumie, tym lepiej.

Ignorując pasję, z jaką Kathrin zabrała się do szarlotki, Pam powiedziała w zamyśleniu:

– Niewiele już nam zostało do końca lata.

Kathrin rzuciła okiem na wypełniony błękitem prostokąt okna.

– Tutaj zapomina się o mijających dniach.

– Masz rację. Przygotowując posiłki, robię to z zegarkiem w ręku, bo nie mogę liczyć na świt, południe i zmierzch. Czy chcesz jeszcze szarlotki?

Kathrin potrząsnęła głową.

– Dzięki, była wspaniała, Pani. Teraz chyba pójdę do siebie i przebiorę się w jakieś czyste łaszki. Ale najpierw kąpiel.

Jakby na zawołanie pojawiła się w drzwiach głowa Garry'ego.

– W saunie jest już jak we wnętrzu wulkanu. Ty i Pam idziecie pierwsze, my, chłopcy, w następnej kolejności.

Sauna była w obozie czymś w rodzaju luksusu. Budynek ten stał nieco na uboczu i z braku drewna opalany był ropą.

Kathrin wstała i zabierając swoje talerze, by zanieść je do zlewu, powiedziała do Pam:

– Zjawię się za pięć minut.

Po minucie była już w swojej błękitnej chatce. Całe umeblowanie sprowadzało się tu do piętrowego łóżka, biurka i krzesła, stał również piecyk na naftę. Przy łóżku na podłodze leżała kolorowa słomiana mata, którą uplotła jej matka i którą Kathrin zabierała wszędzie ze sobą. Taniutki perkalik w kratkę zasłaniał dwa niewielkie okna, a na jednej ze ścian widniały przypięte pinezkami cztery zdjęcia. Wszędzie panował wzorowy porządek, ponieważ tylko pod warunkiem, że miała wokół siebie uładzoną przestrzeń, Kathrin potrafiła odpoczywać. Mimo skromnego umeblowania, wnętrze sprawiało miłe wrażenie. Uwolniła się od ciężaru plecaka i sięgnęła po leżące na jednej z półek przybory toaletowe. Włożyła je do dużej plastikowej torby z ręcznikami i czystą bielizną. Była gotowa imogła wychodzić.

Coś jednak zatrzymało ją i jakby sparaliżowało. Ciężko opadła na krzesło ale ze wrokiem utkwionym w leżącej na podłodze macie. Jeden z uplecionych ze słomy warkoczy ubarwiony był na niebiesko. Identycznego koloru koszulę miał na sobie Jud w dzień swych piętnastych urodzin. Od tamtej zimy minęło tyle lat i teraz Jud nagle był tutaj. Człowiek, którego miała już nigdy nie zobaczyć w swym życiu, znowu w nie wtargnął z brutalnością najeźdźcy, wskrzeszając w nie zmienionej postaci całą udrękę siedemnastoletniej dziewczyny. Z ran zadanych jej przez Ivora prawie że się wyleczyła, ale zdrada Juda nadal bolała.

Rozległo się pukanie do drzwi. Poderwała się, przyciskając dłoń do rozszalałego serca. To mógł być Jud! Z niewysłowioną ulgą usłyszała głos Pam:

– Gotowa?

– Już idę! – odkrzyknęła przez ściśnięte gardło i chwyciła reklamówkę.

Uwagi Pam nie uszło bolesne napięcie, malujące się na twarzy przyjaciółki, lecz postanowiła je przemilczeć.

– Gdyby nie te wszystkie trudności związane z zaopatrywaniem nas w ropę, moglibyśmy częściej korzystać z rozkoszy kąpieli – powiedziała.

Faktycznie, całe zaopatrzenie dla obozu, od gwoździ po papier toaletowy i plastry opatrunkowe, dostarczane było drogą powietrzną, co oczywiście windowało koszty całego przedsięwzięcia. Stąd stałą troską Garry’ego było wynajdywanie osób i instytucji chętnych do sponsorowania badań naukowych.

– Gdybyśmy korzystali z sauny codziennie, tak jak mamy na to ochotę, przestalibyśmy doceniać jej zalety – odparła Kathrin.

– Racja. Chociaż ja osobiście wolałabym być pachnąca i nie doceniająca... Co za piękne niebo...

Niebo istotnie posiadało czystość i głębię, jakich daremnie by szukać na innych szerokościach geograficznych. Zresztą między dwudziestą trzecią a pierwszą następowała tu jak gdyby kumulacja spokoju, delikatności i bezruchu. Kula słoneczna wciąż lewitowała ponad linią horyzontu, lecz oświetlała chmury pod takim kątem, iż stawały się czystą różowością i złocistością. Barwy te spływały na tundrę, pokrywając każdy listek i kamień pyszną polichromią, godną renesansowych artystów.

Pam i Kathrin niemal równie intensywnie i dogłębnie odczuły urok tej chwili, choć przecież jedna miała swojego Garry’ego, a druga tylko swoją samotność.

Za jaskrawoczerwonym magazynem pojawił się budynek łaźni. Posiadał kształt igloo z wystającą metalową rurą komina. Wchodziło się przez niskie drzwi, zrzucało w przedśionku ubranie, potem następne drzwi i człowiek wkraczał w przestrzeń wysokich

temperatur. Fazą wstępną toalety w klasycznej saunie jest kąpiel w suchym, gorącym powietrzu. Tutaj od tej reguły z jakichś tam przyczyn odstąpiono i od razu zaczynała się faza kąpieli parowej. W kłębach pary nagie ciała obu kobiet zdawały się zatracać swoje kontury, stając się płynnymi zarysami nietrwałych materializacji.

– Czy uważasz, że Jud byłby w tym momencie dobrym tematem rozmowy? – zapytała Pam, wylewając na swoje włosy za przykładem Kathrin niemal pół butelki szamponu.

Pam charakteryzowała się daleko posuniętą dyskrecją i taktem, jednak żyła z Garrym i poniekąd czuła się współodpowiedzialna za jego decyzję o dołączeniu Juda do Kathrin.

– A jeśli powiem ci wszystko, to czy wpłyniesz na Garry’ego, by nie uszczęśliwił mnie na jutrzejszej wyprawie takim towarzystwem? – Kathrin wytarła szczypiącą piankę z oczu. – Po prostu nie podołam temu.

– Garry jest kapitanem na tym naszym statku, on podejmuje wszystkie ważniejsze decyzje, więc trudno mi za cokolwiek ręczyć, ale na pewno mu wszystko przekażę.

Kathrin zaczęła namydlać swoje smukłe ciało. Na jej piersiach, łonie i pośladkach znaczył się bielszy ślad po kostiumie kąpielowym.

– Moja matka zajmowała się, by tak rzec, prowadzeniem gospodarstwa domowego w rezydencji ogromnego majątku ziemskiego, noszącego nazwę Thorndean i leżącego na północ od Toronto – zaczęła Kathrin swoją opowieść. – O właścicielu tej posiadłości, Bernardzie Leightonie, zapewne słyszałaś, bo nie są nam obce nazwiska ludzi zajmujących szczyty władzy i biznesu. Kopalnie, gospodarka drewnem, dwie gazety – oto, co reprezentował sobą pan Leighton. Moja matka pracowała u niego praktycznie od dnia swego ślubu, gdyż wyszła za człowieka będącego w Thorndean naczelnym ogrodnikiem. Straciłam ojca, gdy miałam dwa latka, lecz moja matka, choć mogła wówczas wyjechać, pozostała.

Przez chwilę szorowała ramiona w takim skupieniu, jak gdyby ich czystość stanowiła największą jej troskę.

– Bernard Leighton miał dwóch synów. Ivora z pierwszego małżeństwa, z drugiego zaś Juda. Ivor bił na głowę urodą najpiękniejszych gwiazdorów filmowych. Zakochałam się w nim już jako sześciolatnia dziewczynka. Wydawał mi się półbogiem. Ale ów heros czy półbóg nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Byłam młodsza od niego o osiem lat. Siłą rzeczy więc większość czasu spędzałam z Judem, starszym ode mnie tylko o cztery lata.

– To Ivor był przystojniejszy od Juda? – spytała Pam z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Przecież wspanialszego chłopca niż Jud trudno sobie wyobrazić. Mówię to, choć po uszy zakochana jestem w Garrym. Jud to sam szczyt męskiego przystojniactwa.

– Być może – zgodziła się Kathrin obojętnym głosem. Do zewnętrznych walorów Juda nigdy nie przywiązywała najmniejszego znaczenia. – Ja i on byliśmy kumplami, Pam. Niektórzy twierdzą, że przyjaźń między chłopcem i dziewczyną jest niemożliwa. Otóż my zaprzeczaliśmy takiej opinii. Kiedy potknęłam się na jakimś egzaminie czy skazano mnie na noszenie aparatu korekcyjnego, a także kiedy utraciłam najlepszą przyjaciółkę, która przeniosła się wraz z rodzicami aż do Winnipeg, po wszystkich moich porażkach szłam po radę i pociechę tylko do Juda. Łączyły nas wspólne upodobania. Kochaliśmy wolną przestrzeń, zwierzęta i włóczegostwo. Jud, odkąd go pamiętam, zawsze miał w sobie pewien rys dzikości, coś, co nie dawało się poskromić i wymykało się wszelkiej kontroli. Często urywał się ze szkolnych lekcji, gdyż nie znosił najmniejszych ograniczeń i przymusu. Głos Kathrin załamał się, a jej dłoń, obleczona w szorstką rękawicę do szorowania ciała, znieruchomiała. Od lat zadawała sobie pytanie, czy Jud, który przeżywał zwykłą szkołę niczym więzienie, będzie zdolny przetrzymać prawdziwe więzienie bez utraty zmysłów. Chyba jednak przetrzymał, skoro zjawił się tutaj, na dalekiej północy, i sprawiał wrażenie całkiem normalnego człowieka.

– Jud mógł być sobie nieokrzesanym barbarzyńcą – ciągnęła swoją historię – lecz równocześnie budził zaufanie i był do szpiku kości prawy i uczciwy. Przynajmniej ja tak



myślałam. Pociągało mnie w nim, że robił wszystko otwarcie i niczego nie krył przed światem.

– I chyba takim pozostał – powiedziała Pam, w zamyśleniu przyglądając się swemu dość pulchnemu ciału, które w tej chwili właśnie obficie się pociło.

– Pozory i blagierstwo. Gdy skończyłam siedemnaście lat, wybuchł skandal. Okazało się, że Jud defraudował pieniądze ojca. Przyłapano go na gorącym uczynku.

Pam poląła wodą z kadzi rozgrzane kamienie. Buchnęła para.

– Jesteś tego pewna? Nie wygląda mi na gościa zdolnego do takich czynów, potajemnych i w gruncie rzeczy tchórzliwych.

– Tak, jestem tego pewna. Policja odebrała anonimowy telefon z tą informacją. Dzwonił jakiś mężczyzna. Podczas rozprawy sądowej Jud próbował rzucić podejrzenie na Ivora. Ale Ivor był wówczas ze mną, więc nie mogł tego zrobić.

Tak, Ivor i ona byli wówczas w łóżku i kochali się jak dwoje potępieńców. Kathrin poczuła zawrót głowy.

– Ależ tu gorąco – westchnęła.

– W saunie powinno być gorąco – padła z ust Pam całkiem rozsądna odpowiedź. – Co dalej, Kathrin?

– Powoli zbliżamy się do końca – odparła bezbarwnym głosem. – Bernard Leighton, do głębi wstrząśnięty tym, że młodszy z jego synów próbował oskarżyć i zohydzić w jego oczach starszego, dostał ataku serca. W rozprawie sądowej zwyciężył prokurator. Wykazał winę Juda, do której zresztą sam oskarżony w końcu się przyznał. Skazano go na wiele lat więzienia.

Pam strząsnęła z koniuszka nosa kroplę potu.

– Nie wyszłaś za Ivora. – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Niedługo po rozprawie Ivor przyznał się ojcu, iż spał ze mną, i Bernard z miejsca zwolnił moją matkę. Opuściłyśmy Thorndean zaraz następnego dnia. I już nigdy nie widziałam Ivora, Juda oraz ich ojca.

– Aż do dzisiaj, gdy ujrzałaś jednego z nich w stołówce. Nic dziwnego, że wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha, – W głosie Pam przebijało podniecenie. – A prawdę mówiąc, cała ta historia trąci myszką, dodam, feudalną myszką. Mam wrażenie, jakby przeczytano mi właśnie jakąś dziewiętnastowieczną powieść. Czyżby Bernard uznał cię za niegodną swojego starszego syna?

– Córka gospodyni, prawie służącej? Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę.

– Obląkany facet, bęcwał – zwięźle podsumowała Pam. Kathrin próbowała się uśmiechnąć.

– Dzięki za taką ocenę. Ale teraz wiesz, dlaczego nie mogę wyruszyć razem z Judem.

Oszukał wówczas wszystkich, lecz mnie chyba najbardziej, bo miałam do niego bezgraniczne zaufanie.

– Porozmawiam z Garrym. Jestem pewna, że zrozumie.

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką. A teraz jak? Pędzimy do jeziora?

Jezioro, czy też raczej większy staw, znajdowało się od sauny niecałe pięćdziesiąt metrów. Mimo zbliżającego się ku końcowi lata, jego powierzchnia wciąż była pokryta częściowo lodem.

– Ja pasuję – oświadczyła Pam. – Ostatnio po czymś takim do rana nie mogłam się rozgrzać.

Lecz Kathrin potrzebowała jakiegoś mocnego doznania, potężnego wstrząsu. Musiała otrząsnąć się z przygnębienia, w jakie wpadła przy opowiadaniu o swych młodzieńczych latach. Powiedziała Pam prawdę, lecz nie była to cała prawda. W jej historii roilo się od przemilczeń.

– Poczekaj tu na mnie. Zaraz wracam.

– Jasne, że zaraz wrócisz. Chyba że chcesz, byśmy budzili cię do życia elektrowstrząsami. To był prawdziwy szok. Chłodne powietrze nocy, o ile w ogóle była to noc, podziałało z

odnowicielską mocą. Kathrin biegła w dół po skalistym stoku, nie oglądając się na boki. Nie musiała tego czynić. Nie lękała się, że jej nagość zostanie dostrzeżona. Do obowiązujących w obozie niepisanych reguł należało bowiem, że kiedy kobiety korzystają z łaźni, mężczyźni siedzą w chatkach i żaden nie ma prawa nawet zbliżyć się do okna.

Osiągnęła brzeg i nie zwlekając ani sekundy, dała potężnego nura w lodowatą toń. Jej płuca rozdarł krzyk. Natychmiast wypłynęła i mocnymi rzutami ramion skierowała się ku krze, bielejącej na środku stawu. Dotarła do niej i zawróciła. Płynęła, nie zważając na styl, byle szybciej, byle włączyć do pracy wszystkie mięśnie. Brzeg był tuż, tuż. Poszukała stopami dna. I już miała wychodzić z wody, gdy kątem oka coś zauważyła. Odwróciła głowę. Opodal stał Jud i patrzył na nią tymi swoimi niesamowicie niebieskimi oczami.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kathrin znieruchomiała. Jud miał na sobie granatową puchową kurtkę, z jego prawego ramienia zwisał skautowski chlebak. Nie trzymał strzelby, ale w całej jego postawie było coś, co upodobało go do łowcy czekającego w leśnej głuszy na swoją ofiarę.

Już zresztą dokonał spustoszeń, Kathrin czuła to całą sobą. Zniszczył jej szczęście, zjawiał się w tej krainie reniferów i polarnych lisów i zasiał w niej niepokój.

Wyprostowała się. Duma nie pozwalała jej kulić się w wodzie. Dwa białe paki piersi zakwitły na powierzchni jeziora. Fale niosły im lodowatą pieszczotę. Nie wstydziła się zresztą swojej nagości, przynajmniej nie przed Judem. Czyż, jako dziecko, nie kąpała się z nim „na waleta” – takim to wtedy mianem obdarzyli swoją nagość – w rzeczce przecinającej posiadłość jego ojca?

– Złamałeś obowiązujące tu zasady – odezwała się ostrym tonem. – Mężczyźni nie mają prawa zbliżyć się do sauny, kiedy Pam i ja z niej korzystamy.

– Zawsze byłem na bakier z zasadami – odparł sarkastycznie. – Powinnaś wiedzieć o tym lepiej od innych.

– Wiem, bo za coś takiego wtrącono cię do więzienia.

– Skąpiła mu współczucia i nie czuła się z tym najlepiej.

– Czy nigdy nie dorośniesz, Jud?

Jakby skurczył się w sobie. Gdyby trzymał w tej chwili naładowaną strzelbę, z pewnością padłby strzał.

– Nie szafuj ocenami, Kit! Nic o mnie nie wiesz. Nie masz pojęcia, co wydarzyło mi się przez te ostatnie lata.

– I kto temu winien?

– Masz swój udział w winie. Nie odgrywaj przede mną niewiniątka, Kit.

Zadrżała. Zimno wsączało się w jej ciało przez wszystkie pory skóry. Na brzegu stał jakiś obcy człowiek, który gniewnym głosem ciskał w nią oskarżenia. Aż nie chciało się wierzyć, że pod tą jego odpychającą teraz powłoką krył się kiedyś wspaniały chłopak, który nauczył ją łażenia po drzewach, jazdy konnej i łowienia pstrągów w potoku.

– Nic nie wiemy o sobie. I myślę, że zawsze tak było.

Naprawdę nie widziała sensu kontynuowania tej rozmowy. Nie widziała też możliwości, gdyż zimno stawało się nie do wytrzymania.

Rozgarniając ramionami wodę dla zmniejszenia oporu, ruszyła ku brzegowi. Po chwili stała już na suchej litej skale, a w kroplach na jej ciele zamigotało słońce. Przez ułamek sekundy, gdy była nieruchoma, przypominała wykuty w marmurze posąg. Lecz zaraz puściła się biegiem w stronę łaźni. Nie, nie uciekała. Chciała tylko pobudzić krążenie krwi w żyłach. Pam, okutana w ręcznik, czekała na nią.

– Co tak długo porabiałaś w tej łódźce? – spytała prawie że z pretensją. – Jesteś aż sina z zimna.

Kathrin chwyciła ręcznik.

– Spotkałam Juda. Pam stropiła się.

– Garry chyba zapomniał go uprzedzić.

– Nie musiał. Jud, gdy mnie dostrzegł, mógł się przecież odwrócić i pójść sobie.

Tymczasem gapił się na mnie i jest to obrzydliwe.

– Widzę, że cięta jesteś na tego faceta.

Szorowane ręcznikiem ciało Kathrin powoli odzyskiwało miękkość i elastyczność. Kłuło teraz, jak gdyby ktoś wbijał w nie igły.

– Ufałam mu, Pam! Ufałam mu bardziej niż własnej matce. A on przez cały ten czas żył w kłamstwie. Okradał swoich najbliższych.

– Zdarzają się pomyłki sądowe.

– Przedstawiono żelazne dowody. A poza tym, jak już ci powiedziałam, Jud przyznał się do

zarzucanych mu czynów. Lepiej jednak zbierajmy się stąd. Nasi mężczyźni czekają na swoją kolej.

Ubrały się i wróciły do obozu. Po drodze nie spotkały Juda. Gdy znalazły się przed stołówką, Pam powiedziała:

– Chodź, Kathrin, uraczymy się gorącą czekoladą. Po kąpieli w zamrzniętym jeziorze nie ma nic lepszego.

Kathrin najchętniej poszłaby wprost do swojej chatki, ale miała mokre włosy, a byłoby szczytem marnotrawstwa rozpalać we własnym piecu, gdy miało się do dyspozycji nagrzaną kuchnię.

– Okay, ale nie zostanę długo.

Na szczęście zastały w środku tylko Karla i Garry'ego, którzy zresztą zaraz odeszli. Kathrin faktycznie nie zabawiła długo. Wysuszyła włosy, wypila czekoladę, przy okazji niemal parząc sobie usta, i pomogła Pam w zmywaniu.

Gdy wszystkie talerze, gary i sztućce lśniły już czystością, nie zwlekając, włożyła kurtkę.

– Zmykam. Nie mam ochoty na ponowne spotkanie z Judem. Dobranoc, Pam, i dzięki za cierpliwą życzliwość w wysłuchiowaniu mojej historii.

Na dworze nie było nikogo, a jednak Kathrin prawie biegiem pokonała odległość dzielącą stołówkę od jej chatki. Zamykając za sobą drzwi, po raz pierwszy pożałowała, że nie posiadają wewnętrznej zasuw. W obawie przed intruzem, którego imię znała, podparła klamkę krzesłem. Wiedziała, że nie będzie to dla niego żadna przeszkoda, potrzebowała jednak przynajmniej iluzji poczucia bezpieczeństwa.

Było już dobrze po północy. Marzyła o głębokim, kilkugodzinnym śnie.

Rozpakowała plecak, przesortowała brudne rzeczy, notatki i sprzęt fotograficzny przeniosła na biurko i na koniec przebrała się w piżamę.

Na dworze wciąż panowała nieubłagana jasność, zasłoniła więc oba okna czarnymi plastikowymi torbami, uzyskując w ten sposób złudzenie nocy.

Położyła się do łóżka i zapatrzyła w półmrok pokoju. Czekala. Czekala na pukanie do drzwi. Bała się Juda. Przerzątał ją. Już raz dla niej umarł i teraz chciała, by, zmartwychwstały, umarł po raz drugi. Żeby odleciał stąd pierwszym samolotem i już nigdy więcej nie pojawił się w jej życiu.

Z zakamarków pamięci zaczęły się wyłaniać obrazy. Jud wpatrzony w sędziego ogłaszającego wyrok; krzew pnącej róży, na którym zawiesiła wzrok, gdy opuszczała Thorndean; Ivor trzymający ją drżącą w ramionach... Cała ta przeszłość miała być nieodwołalnie zamknięta. Stało się inaczej, a ona nie czuła się na siłach podolać temu wyzwaniu.

Z zewnątrz dobiegły stłumione głosy mężczyzn powracających z łaźni. Skrzypnęły jakieś drzwi. Pam krzyknęła coś do Garry'ego.

Ale do drzwi zatarasowanych krzesłem nikt nie zapukał.

Obudził ją jakiś dźwięk. Przez chwilę, oszołomiona snem, nie potrafiła ani go nazwać, ani zlokalizować. W końcu jednak jej uwaga skoncentrowała się na drzwiach. Usłyszała wyraźne, choć delikatne pukanie. Ciągle nie była pewna realności swych doznań.

Niewykluczone, że śniła to wszystko. Uszczypnęła się w dłoń. Zabolalo.

– Kto tam?

– To ja, Jud. Muszę porozmawiać z tobą, Kit.

– Daj mi święty spokój! – wykrzyknęła na granicy hysterii.

Ale on najwidoczniej postanowił ją zadźęczyć. Nacisnął klamkę, a wyczuwszy opór, naparł na drzwi. Krzesło, rzecz jasna, okazało się tylko teatralnym rekwizytem – upadło na podłogę. Jud wszedł do środka. W szarówce sztucznej nocy wydawał się ogromny, gniewny i niespokojny.

Kathrin wyskoczyła z łóżka. Włosy na chwilę przesłoniły jej twarz, lecz odgarnęła je ręką. A

potem odsłoniła jedno z okien. Wolą nie prowokować lęków związanych z ciemnością.  
– Jak śmiesz wdziierać się tutaj niczym zwykły kryminalista? – Natychmiast pożałowała swych słów, lecz nie sposób było ich cofnąć.

– Więc w twoich oczach jestem po prostu kryminalistą?

– Dobrze, uniosłam się, ale kto wdziiera się do cudzego mieszkania nieproszony, ten nie może liczyć na serdeczne przyjęcie. A porozmawiać możemy przy śniadaniu. Zresztą niewiele mamy sobie do powiedzenia. Poza tym wracam do obserwacji moich reniferów tylko w towarzystwie mojego cienia. Ty zostajesz tutaj.

– Zdaje się, że Garry powiedział wczoraj coś wręcz przeciwnego.

– Staraj się raczej słuchać tego, co ja mówię!

– Tak? Jakoś nie odniosłem dotąd wrażenia, ażebyś ty była tu szefową.

Kathrin usłyszała swój nieregularny oddech. Koniecznie musiała wziąć się w garść.

– Nie zapraszałam cię tutaj i niech będzie zupełnie jasne, że nie chcę cię widzieć przy sobie. Ty i ja skazani jesteśmy na rozłąkę. Nigdzie nie pójdziesz ze mną. Czy wreszcie dotarło to do ciebie? A teraz wyjdź, żebym mogła się ubrać.

Jud uśmiechnął się, choć najwyraźniej nie przyszło mu to łatwo.

– Nie zobaczę niczego, czego nie widziałbym tam, nad jeziorem.

Równocześnie obleciał ją strach i zakipiała gniewem.

– Wiesz co? Nie podoba mi się ta nowa wersja Juda. Nigdy się ciebie nie bałam, a teraz zasycha mi w gardle ze strachu. Więc lepiej idź sobie. Gdy spotkasz Garry'ego, usłyszysz od niego, że wyruszą sama. – Na chwilę zamilkła, po czym palnęła głupstwo: – Od wczoraj zmienił swoją decyzję.

– A niby dlaczego miał ją zmienić, najdroższa Kit? Ponieważ szepnęłaś mu do ucha, że jestem byłym więźniem? – Głos Juda przesycony był sarkazmem. – Sęk w tym, że Garry już od dawna o wszystkim wiedział. Wobec tego nie sądzę, by zmienił swoje stanowisko.

– Nie mów do mnie najdroższa! Tak czy inaczej, Garry zrewiduje swoje plany odnośnie nas obojga. Wczoraj dla wszystkich stało się jasne jak słońce, że nie możemy znieść swojego widoku. To jest Arktyka, koło podbiegunowe, i panują tu najsurowsze warunki na kuli ziemskiej. Byłoby czymś głupim wysłać nas razem. Głupim i ryzykownym.

Ku jej wściekłości, Jud roześmiał się.

– Bystrą byłaś dziewczynką i taką pozostałaś. Mimo to z bólem serca muszę cię rozczarować. Garry pozostanie przy swojej decyzji. Wy tłumaczenie jest proste.

Przyleciałem tu, by zrobić serię zdjęć reniferów żyjących na wolności, by tak rzec, w stanie dzikim. Tylko ty wiesz, gdzie znajduje się stado. I dlatego wyruszymy razem. – Uniósł brew w wyrazie rozbawienia. – A nawiasem mówiąc, w tej piźamie nigdy nie dostaniesz się na okładkę magazynu „Vogue”.

Odruchowo spojrzała w dół po sobie. Nogawki zielonych spodni piżamy układały się w fałdy, upodabniające je do śmiesznych portek kłowna.

Gdy uniosła wzrok, dostrzegła, że Jud patrzy na podłogę. Na jego czole zarysowała się pionowa zmarszczka.

– Ta mata – powiedział całkiem odmienionym głosem.

– Pamiętam, że uplotła ją twoja matka.

– Tak. Mniej więcej wówczas, gdy zdawałeś maturę.

Postąpił dwa kroki i opadł na kolana. Mimowolnie spojrzała na jego pochyloną głowę. Miał takie same włosy jak dawniej. W tamtych czasach szczególną miłością darzyła kruki gnieźdzące się w prastarych bukach, rosnących w Thomdean, podziwiała ich inteligencję i dziką niezależność. Włosy Juda miały tę samą barwę, co ich skrzydła – czerń połyskująca granatem. Jego palce, długie i elastyczne, gładziły w tej chwili pasemko niebieskiego materiału, wplecione w słomiane warkoczki maty.

– To ojciec podarował mi tę koszulę – szepnął zamyślony. – Rozstałem się z nią dopiero wówczas, gdy była w strzępach.

Słowa same wypłynęły z ust Kathrin.

– Pamiętasz, jak wpadłeś do parowu? Podarłeś ją przy upadku, a moja matka pocerowała ją z takim artyzmem, że nawet nie było widać szwów.

– Tak... – Uniósł głowę, a jego niesamowicie niebieskie oczy zasnuły się mgłą melancholii. Odzyskał też dawną twarz, otwartą i jasną.

Kathrin na chwilę wstrzymała oddech, by zaraz wyrzucić z siebie:

– Gdy się lepiej przypatrzysz, znajdziesz tu również ścinki ze swetra Nora.

Twarz Juda zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Powstał z klęzek.

– Myślę, że zakochałaś się w nim już w kołysce. Dlaczego więc za niego nie wyszłaś, Kit? Wydeła wargi, jakby chciała pokazać, że rozpatrywanie tej kwestii ubliża jej godności.

– Ivora i moją miłość do niego zostawmy lepiej na boku. Za chwilę rozlegnie się gong na śniadanie, a ja nie jestem jeszcze ubrana. Chyba nie byłoby fair kazać Pam czekać z podaniem nam posiłku.

– Mylisz się – powiedział Jud, a jego głos pobrzmiwał groźbą. – Jest to jak najbardziej odpowiednia pora, żeby porozmawiać o przeszłości, twojej i mojej. A także o moim bracie i ojcu. Ale w jednym masz rację. Nie teraz, nie przed śniadaniem. Nie upieram się co do godziny, upieram się co do czasu, który właśnie nadszedł. – Odwrócił się i podszedł do drzwi. Położywszy dłoń na klamce, spojrzał przez ramię. – Chyba nie sądzisz, że pojawiłem się tutaj, ot tak, przypadkowo?

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Kathrin ciężko opadła na łóżko. Wsłuchiwała się w zapadłą ciszę, lecz cisza ta wciąż dźwięczała osobliwą melodią słów Juda. Tyle że pokój odzyskał dawne proporcje. Poza tym wszystko się zmieniło. Znalazła się w całkiem nowej sytuacji, stanęła wobec trudnego wyzwania. Nie miała teraz żadnych wątpliwości, że Jud przyjechał tu do niej. I nie opuści tego miejsca, zanim nie osiągnie tego, co zamierza. Cokolwiek by to było.

Zgarbiła się, jakby przygnieciona ogromnym ciężarem. Wyrwał ją z zamyślenia gong wzywający na śniadanie. Ubrała się z automatyzmem mechanicznej lalki i wyszła na dwór. Był piękny słoneczny dzień. Od płaskowyzu ciągnęła ciepła bryza. Niebo jakby ktoś wyszorował i splukał polewaczką. Mchy zachwycęły szmaragdem, zaś kontury każdego źdźbła trawy zdumiewały wyrazistością. Od łęgowsk dolatywał ptasi rejwach.

– Kathrin, masz chwilę czasu?

Z baraku, w którym mieścił się generator prądu, wynurzył się Garry. W jednym ręku trzymał kanister z paliwem, w drugim zaś klucz francuski.

Powitała go uśmiechem. Lubiała jego brodatą, miłą, szczerą twarz. Kontakt z Garrym nie łączył się z żadnymi niespodziankami i nie przypominał zwiedzania mrocznych jaskiń.

– Co za cudowny dzień – powiedziała podchodząc.

– Przypuszczam, że taka pogoda utrzyma się do końca tygodnia. Choć nie myśl sobie, że zawsze ufam prognozom meteorologicznym. – Postawił baniak na ziemi, położył na nim klucz, po czym bez zbędnych wstępów i kołowań przeszedł do rzeczy. – Pam powiedziała mi wszystko. Ale nic tu nie da się zrobić, Kathrin. Jud zgłosił chęć finansowania naszych badań, a wiesz, co to oznacza.

Kathrin opuściła ręce z jakąś dziecinną bezradnością. Oczywiście, że wiedziała. Ich badania zasilane były przez cieniutki strumyk rządowych i prywatnych dotacji. Ostatnio strumyk ten najwyraźniej zaczął wysychać.

– Ależ on nie jest aż tak bogaty – powiedziała, pragnąc za wszelką cenę wyrwać się z osaczenia.

– Już dostałem od niego czek, poświadczony i całkowicie pewny. Dorobił się małej fortuny na tym filmie o więźniach i ich życiu, który nakręcił. Musiałaś go widzieć. Wszedł u nas na ekrany jakieś dwa lata temu, a teraz fenomenalnie wręcz sprzedaje się w Stanach.

– Nie, nie widziałam. W ogóle rzadko chodzę do kina. – Czowała się jak po wypiciu butelki wina.

– Wiem, że to trudne dla ciebie. Ale wszyscy byliby ci wdzięczni, gdybyś w imię wspólnego dobra przeszła do porządku nad osobistymi urazami. Jud chce tylko pofotografować sobie te renifery. Jesteś jedyną osobą, która może mu to ułatwić.

Najwyraźniej znalazła się w pułapce bez wyjścia.

– A do czego w ogóle potrzebne mu są te zdjęcia?

– Jego następna książka będzie o Arktyce...

W umyśle Kathrin zalegała ciemność, w której od czasu do czasu błyskały jakieś światełka.

– Nie miałam pojęcia, że jest pisarzem.

– Nie widziałas go przez całe lata. Jego pierwsza książka, o szarym niedźwiedziu popularnie zwanym grizzly, ukaże się na jesieni. Widziałem odbitki korektorskie... cudowne fotografie i wyborny tekst. Ten facet zna się na swojej robocie. Poza tym w książce o Arktyce chce zareklamować naszą stację badawczą. Rozumiesz więc, że biorąc to wszystko pod uwagę, nie możemy go zrażać do siebie.

Jako chłopak, Jud wszędzie się włóczył z aparatem fotograficznym. To wiedziała. Lecz jakim cudem przeszedł od fotografowania dzikich kaczek do filmowania szarych niedźwiedzi, to było pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

– W porządku, mam misję i wypełnię ją. Wezmę go ze sobą i pokażę mu to stado. Ale nie ręcę za swoje humory. Będę dla niego grzeczna i uprzejma, jeśli i on będzie dla mnie grzeczny i uprzejmy. Lecz na pewno nie znajdzie we mnie niańki.

Garry serdecznie poklepał ją po ramieniu. Dostrzegła ulgę na jego twarzy. Wywnioskowała stąd, że musiał obawiać się jej odmowy.

– Wspaniale! Jestem pewien, że nie sprawi ci żadnego kłopotu. Facet nie jest żółtodziobem. Spędził w Górach Skalistych ponad pół roku, podglądając te niedźwiedzie. Niańki nie będzie potrzebował. A teraz chodźmy na śniadanie. Pam zamierza uraczyć nas jajecznicą na bekonie.

Kathrin powlokła się za Garrym w kierunku stołówki. Była niepokieszona. Spadała na nią niespodzianka za niespodzianką. Obraz mężczyzny, który z premedytacją okradał własnego ojca nie pasował do obrazu przyrodnika amatora, polującego z aparatem fotograficznym na szare niedźwiedzie. Więzień klócił się z filmowcem. Chłopak, którego pamiętała, nie miał nic wspólnego z zimnym draniem, który wczoraj z brzegu jeziora obserwował ją nagą.

W stołówce Jud i Karl siedzieli pochyleni nad jakąś mapą. Karl, swoją nienaganną angielszczyzną, sypał nazwami jezior, płaskowyżów, wysp i cieśnin. Z kuchni dolatywał smakowity zapach smażonego bekonu. Kathrin sięgnęła po pomarańczę, obrała ją i włożyła cząstkę do ust. Poczowała, że wraz ze słodko-kwaśnym, orzeźwiająjącym sokiem wnika do jej wnętrza energia i optymizm. Wyprawa w towarzystwie Juda przestała nagle jawić się jako koszmar. Po prostu każde z nich zajmie się w dolinie swoją robotą i nie będzie między nimi żadnych osobistych wycieczek.

To zaś oznaczało, pomyślała nie bez pewnej dozy złośliwości, bardzo ciche, wręcz milczące dni.

Podszedł Calvin i położył przed nią jagodziankę. Była głodna i spałaszowała ją w jednej sekundzie. Potem przeszła do kuchni, gdzie krzątała się Pam, by zrobić sobie tosty.

– Jak się spało? – spytała przyjaciółka z nutką niepokoju w głosie.

– Śmiało mogę powiedzieć, że wypoczęłam – odparła lekkim tonem. – Wyruszam po południu. A właściwie wyruszamy, gdyż okazało się, że Jud w lwiej części finansuje nasze badania. Pieniądze to ważna rzecz. Pokażę mu to stado.

– Pięknie powiedziane – rozległ się z tyłu głos Juda. – Ile zajmie nam ta wędrownia? Nabrała powietrza w płuca.

– Około trzech godzin. Cztery, jeżeli stado posunęło się dalej w dolinę. Razem z Pam przygotujemy prowiant...

– Będę gotowy. – Zabrzmiało to jak groźba. Przebiegł ją dreszcz, ale czego właściwie miała się bać?

Na wszelki wypadek weźmie ze sobą tranzystorowy nadajnik, by w każdej chwili móc skontaktować się z Garrym.

– Włóż na nogi długie kalosze o grubej podeszwie i weź ze sobą namiot – powiedziała zimno.

– Tak jest, proszę pani.

Zaczerwieniła się, ale w tym samym momencie Pam podała jej talerz z jajecznicą i chyba jej rumieniec uszedł uwagi Juda.

Przeszła do stołówki i usiadła obok Calvina, który od razu zaczął wyjaśniać jej rolę glonów w utrzymywaniu ekologicznej równowagi na tym obszarze. Mimo że reklamował się jako kobieciarz, Kathrin podejrzewała, że bardziej interesuje go proces rozmnażania się alg niż stosunki męsko-damskie. Słuchając jednym uchem wykładu sympatycznego grubaska, nie spuszczała oka z Juda, który rozmawiał z Pam. Po wczorajszym szoku, mogła dziś spoglądać na niego z chłodną badawczością. Zamierzała spędzić te cztery dni w tundrze w sposób owocny i w miarę przyjemny. Ostatecznie była dorosłą kobietą i czuła się na siłach stawić czoło choćby tuzinowi Judów.

W tym nader optymistycznym nastroju spędziła resztę dnia w obozie. A były to bardzo pracowite godziny. Prała, prasowała, segregowała notatki, układała plan pobytu w dolinie, by wreszcie zająć się pakowaniem rzeczy. Wiedziała, że o niczym ważnym nie może zapomnieć. Sprawdziła więc wszystko dwukrotnie, a potem jeszcze raz. W końcu można było zapinać plecak. Uniosła go, chcąc sprawdzić jego ciężar. Uśmiechnęła się. Nosiła już dużo cięższe.

Teraz musiała odnaleźć Juda.

Omiotła pokój ostatnim spojrzeniem i zamknęła drzwi. Jud już czekał na nią na dworze. Jego opalona, poważna twarz nie zdradzała niczego. Słońce połyskiwało w jego kruczonych włosach, podczas gdy oczy wydawały się destylacją niebieskości nieboskłonu. Kathrin z pewnym zdumieniem stwierdziła w duchu, że Pam miała rację. To był bardzo przystojny facet.

Jud odezwał się pierwszy.

– Zbyt późno, żeby się wycofać. Spojrzała nań z ukosa.

– Powiedziałam, że zaprowadzę cię do reniferów, i dotrzymam słowa. Bądź co bądź, przeskoczyłam przez ten parów, pamiętasz?

Parów, o którym wspomniała, ciągnął się wzdłuż wschodniej granicy Thorndean i jego wiecznie zacienionym dnem, wśród paproci i granitowych głazów płynął wątyły strumyk. Bardzo długo był miejscem schronienia kruków.

– Pamiętam bardzo dobrze. Miałeś wtedy dwanaście lat, lecz twój skok pasował cię na dorosłą. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że ci się uda. – Na jego wargach pojawił się cierpki uśmiezek. – Okazałem się kompletnym durniem, pozwalając ci na coś tak ryzykownego.

To tego dnia rozdarłem koszulę.

Również pokaleczył się i podrapał. Wciąż miała przed oczyma jego pobladłą z bólu twarz i zaciśnięte zęby.

– Chodźmy. Chcę odnaleźć stado, zanim zatrzymamy się na posiłek.

– Za wszelką cenę pragniesz uniknąć wspomnień – zauważył z drwiącym wyrazem twarzy. Miała już tego dość.

– Najwyższy czas, byś dokonał wyboru. Albo stoisz tu i gadasz do samego siebie, albo podążasz za mną.

I zanim się zorientował, wyprzedziła go o kilkanaście kroków. Dogonił ją przy występie skalnym. W tym miejscu ścieżka skręcała w lewo i upodabiała się do kamienistego łożyska wyschniętego potoku.

Kathrin szła równym, długim krokiem, głęboko wdychając czyste i rześkie powietrze. Czuła się lekka i radosna. Przed sobą miała tundrę. I obojętnie, kto szedł za nią, nie mógł odebrać jej metafizycznego wręcz doznania tych bezkresnych przestrzeni.



– Karl powiedział – rozległ się z tyłu głos Juda – że jeszcze nie tak dawno temu cały ten obszar znajdował się pod wodą.

– Tak, to prawda. Pokrywała kiedyś ten kraj wieczna zmarzlina. Potem lodowiec roztopił się i z czasem z wód wyłoniły się wyspy.

– Skoro mowa o wodach, to powiedz mi coś o tych algach, w których tak zakochany jest Calvin.

Roześmiała się, cokolwiek rozprężona, i z chęcią podjęła temat. Jud od czasu do czasu przerywał jej jakimś pytaniem. Pytania te nie przynosiły wstydu jego inteligencji, świadczyły zaś o żądzy wiedzy. Szli teraz brzegiem jeziora. Nad ich głowami przeleciała para nurów. Jud pierwszy dostrzegł płatkonoga, Kathrin – szybkiego biegusa. Idąc, muskali nogami delikatne arktyczne kwiaty: złociste jaskry i purpurowe wyżliny. Zaczęli piąć się w górę po stoku płaskowyzu. Nie było tu żadnego szlaku, a tylko subtelna geografia głazów, krzewinek i trawiastych łąk. Kathrin, kierując się sobie tylko znanymi znakami, bardziej ustanawiała, niż odnajdywała drogę. Dochodziła szósta, gdy zatrzymała się przy strumieniu.

– Musimy napęścić tu nasze bidony i chwilę odpocząć – powiedziała, zdejmując plecak. Woda ciurkała między kamieniami, obrośniętymi już to szkarłatnym, już to szmaragdowym mchem.

– Wiesz – powiedział Jud – jestem pod wrażeniem panującej tu kolorystyki. Wszystkie barwy są tak żywe i czyste. Zdają się skakać do oczu.

Lepiej nie potrafiłaby tego ująć.

– Myślę, że podkreśla to szarobure tło skał i ziemi, uzupełnione bielą trzymającego się jeszcze w niektórych miejscach śniegu. Kwiaty i inne rośliny na tym tle wydają się bardziej jaskrawe i efekt jest taki, jakby atakowały widza.

– Podoba mi się tu. Skwapliwie skinęła głową.

– Idąc w tundrę, czuję się tak, jakbym wracała do domu... Nie wiem, dlaczego.

Utkwił w niej wzrok.

– Jest to kraina odsłonięta, obnażona, otwarta na oścież. Żadnych eufemizmów, tylko naga prawda.

Zgadywała, że jeszcze chwila, a wprowadzi do rozmowy wątek osobisty. Raz jeszcze ogarnęła krajobraz miłosnym spojrzeniem. Pożałowała swojego porannego gniewu. Nagle wydał się jej czymś małoduszny i niegodny.

– Jud, przed siedmiu laty mój świat legł w gruzach. Niełatwo mi było wydobyć się z tych ruin. Więc proszę, nie próbuj wskrzeszać tamtych chwil.

Pochylił się ku niej. Wiatr bawił się jego włosami.

– Sądzisz, że ukradłem te pieniądze?

– A jak mogę sądzić inaczej? Przecież przyznałeś się do tego.

– To Ivor doniósł policji, Kit.

– Nie mógł tego zrobić. Byłam wówczas z nim.

– Kochałaś go.

– Nie kryłam Ivora, Jud. Nigdy bym nie skłamała.

– A jednak skłamałaś. – Chwycił ją za rękę, widząc, że chce odejść. – Byłaś młoda i straszliwie zakochana. Musiałaś wybierać i wybrałaś dobro ukochanego. Nawet trudno ci się dziwić. Ale ja chcę znać prawdę.

Zauważyła bliznę na jego dłoni. Uczepiła się jej wzrokiem, nie mając siły spojrzeć mu w oczy.

– Skąd ta blizna?

– Więzienne porachunki – odparł niecierpliwie. – Kit, powiedz prawdę. Tu – ogarnął ruchem ręki niebo i ziemię – nie godzi się kłamać.

– Nie kłamię. Nie skłamałam w sądzie.

Chwycił kamień i cisnął nim w dół strumienia. Na jego twarzy malował się bolesny zawód.

– Miałem o tobie lepsze mniemanie.

Skoczyła na równe nogi. Mierzyła go pociemniałymi oczyma.

– Do czego ty właściwie zmierzasz? Co chcesz udowodnić? Co się stało, to się nie odstanie. On również podniósł się z ziemi.

– Fotografować renifery mogę w stu innych miejscach Arktyki. Przyleciałem tu, bo zobaczyłem twoje nazwisko na liście uczestników tej wyprawy naukowej. Dziwne, ale już nieraz tak właśnie wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Tundra, a na jej tle ty, ja i Ivor.

– Jak to... Ivor? – spytała, nie bardzo rozumiejąc.

– Zjawi się tu w przyszłym tygodniu – rzekł beznamiętnym tonem.

Serce skoczyło Kathrin do gardła.

– Co powiedziałeś?

– Ivor odwiedzi wasz obóz za kilka dni.

– Nie! – Zachwiała się, jakby na skutek ciosu.

– Ciągłe go kochasz. Boże, jak można być tak ślepym.

– Powiedz, że to żart. Jakiś okrutny żart. Niby po co Ivor miałby tutaj przyjeżdżać?

– Jak to zwykle on... kierowany nadzieją zysku. Kopalnie, najdroższa Kit. Uran i srebro.

Oto, co interesuje Ivora.

Odrzuciła do tyłu głowę.

– A co interesuje ciebie? Zemsta? Zemsta za te lata spędzone w więzieniu.

– Prawda, nie zemsta. A to istotna różnica. Uwierz mi, Kit.

Nic nie odpowiedziała. Wszystko wokół stało się nagle ponure i nieprzyjazne. Dźwignęła plecak i ruszyła piarżystym stokiem ku swemu przeznaczeniu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Godzinę później, idąc przez cały czas w milczeniu, Jud i Kathrin doszli do żółtego namiotu, który wyglądał niby ogromny jaskier na zboczu nagiego wzgórza. Kathrin angażowała całą swą wolę, by ukryć wewnętrzne wzburzenie. Wyjęła z futerału lornetkę i wycelowała ją w zieloną rozległą dolinę.

– Poszły sobie – powiedziała po chwili z nutką rozczarowania w głosie. – Jednak mniej więcej wiem, w jakim kierunku się posuwają. Myślę, że są za tamtymi skałami. To zaś oznacza dodatkowe dwie godziny wędrówki.

– Może byśmy coś przekąsili, zanim ruszymy w dalszą drogę?

– Chętnie – odparła, chowając lornetkę.

– Spójrz na mnie, Kit.

– Nienawidzę tego zdrobnienia.

– Zawsze byłaś dla mnie Kit i chyba już tak pozostanie. – Odchrząknął. – Muszę porozmawiać z tobą o moim bracie. Nie chciałbym, żebyś powitała go w ten sam sposób, co mnie.

– Jesteś uosobieniem dobrych manier – odparła sarkastycznie.

Przejechał ręką włosy. Wyglądał na rozgoryczonego. – Nie będę licytował się z tobą w ostrości docinków. Może na cztery dni zawrzemy rozejm? – zaproponował.

– Nie ufam ci! – wybuchnęła.

Jud zachwiał się, jakby słowa te podziały nań z siłą fizycznego ciosu. Dość szybko jednak się opanował.

– To zawiesz na jakiś czas tę swoją nieufność. Inaczej pobyt tutaj stanie się dla nas prawdziwym koszmarem. Jesteśmy jedynymi ludźmi w promieniu co najmniej piętnastu kilometrów. Uważam, że nakłada to na nas obowiązek zachowania form kulturalnej poprawności. Przynajmniej poprawności.

Argument ten wydał się Kathrin całkiem rozsądny.

– Chyba masz rację – powiedziała.

– W takim razie zwiń namiot, a ja tymczasem zrobię kolację.

Zatem każde z nich miało zająć się czymś innym i taki podział jak najbardziej jej odpowiadał. Wyrwała z ziemi „śledzie”, rozmontowała aluminiowe maszty i złożony brezent, zwinęła go w ciasny walec, który następnie włożyła do worka. Po chwili worek z namiotem znalazł się na szczycie plecaka.

Na kolację zjedli duszoną wołowinę z chlebem domowego wypieku. Żadne z nich nie paliło się do rozmowy. Dopiero gdy Kathrin skończyła posiłek i skórką chleba do czysta wytarła swój talerz, uznała, że mimo wszystko należy przerwać ciszę.

– Zastanawiam się, dlaczego jedzenie na biwaku smakuje dużo bardziej niż pod dachem.

Jud spoglądał w dolinę. Znów przypominał chłopca, z którym dzieliła dzieciństwo.

– Być może jest to zasługa świeżego powietrza i wolnej przestrzeni – odparł cichym głosem.

Nagle zalała ją fala współczucia.

– Jak ty w ogóle wytrzymałeś to więzienie, Jud? Przecież nawet szkoła była dla ciebie zbyt duszna.

– Po prostu zagrzebałem się w sobie jak w jakiejś norze i oddzieliłem od otoczenia grubą skorupą. Inaczej z pewnością bym oszalał.

Na usta Kathrin cisnęły się dalsze pytania, a wśród nich to najważniejsze, na które do tej pory nie знаła odpowiedzi. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zawiódł jej zaufanie i zaufanie innych? Jud jednak prosił o rozejm, a zadając mu to pytanie, nacisnęłyby coś w rodzaju spustu.

– Jud, urodziłeś się, by żyć w takich przestrzeniach jak te. Po prostu taką już masz naturę. Wolną i niezależną.

On jednak nie interesował się teraz doliną. Interesował się nią, Kathrin.

– Wyrosłaś na piękną kobietę, Kit.

Kompletnie zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Przyparł do muru.

– Kto? Ja? Uśmiechnął się.

– Nie ma tu innej kobiety.

Ivor nigdy nie pochwalił jej urody. Pociągały go wycackane blondynki, im bogatsze, tym lepiej.

– Mam piegi. Dolał jej kawy.

– Piegi mogą szpecić, mogą też ozdabiać.

– Dziewczyny z „Vogue” nie noszą flanelowych piżam i nie mają piegów.

– A mimo to nie widziałem wśród nich tak pięknej jak ty, Kit. Ponieważ na twojej twarzy odbija się cała twoja osobowość. To nie rysy czynią twarz piękną, ale owa zdolność wyrażania, która przemienia twarz w zwierciadło duszy. Kiedy więc patrzę na ciebie, widzę wszystkie przeżycia ostatnich lat. Czy były to ciężkie lata, Kit?

Znowu stanęli u wrót przeszłości i znów nie czuła się na siłach przekroczyć progę.

– Dajmy temu spokój, Jud. Od dawna staram się żyć chwilą obecną i może trochę przyszłością, głównie ze względu na moje badania naukowe.

Niespodziewanie chwycił ją za ramię. Poczowała na policzku jego gorący oddech.

– Skoro mowa o terażniejszości, to właśnie sobie uświadomiłem, że jesteś kobietą. Nie dziewczynką, lecz kobietą. Piękną kobietą.

A więc trwali w zawieszeniu pomiędzy różnymi czasami i tylko jedno było pewne – nie chciała być sama w tundrze z mężczyzną, który mówił o niej w ten sposób. Z mężczyzną, który miał krucze włosy i błękitne spojrzenie.

– Byliśmy kiedyś niczym brat i siostra. Jesteśmy teraz niemal obcymi sobie ludźmi.

Oczywiście, byłabym szczęśliwa, gdyby udało się nam odbudować naszą dawną bliskość. Być może nie jesteśmy pod tym względem bez szans.

Zachnął się.

– Masz wizję świata jako schludnego i raz na zawsze uporządkowanego podwórka.

Tymczasem wszystko się zmienia, jedne wyspy znikają, inne pojawiają się na powierzchni morza. Obawiam się, że nasza siostrzano-braterska wysepka znikła bezpowrotnie niczym Atlantyda.

Kawa wystygła i Kathrin wylała ją z kubka na ziemię.

– Wybraliśmy się w te strony z myślą o reniferach, a nie po to, by filozofować o życiu i przemijaniu.

– Będziemy tu przez cztery dni. Być może uda się nam odnaleźć coś więcej niż tylko renifery – powiedział, po czym zajął się rozmontowywaniem turystycznej kuchni spirytusowej.

Po kilku minutach ruszyli w dalszą drogę. Kathrin szła przodem, Jud podążał za nią.

Wiedziała, że będzie szedł jej śladem dopóty, dopóki nie osiągnie swego celu.

Odnaleźli renifery w sąsiedniej dolinie. Zwierzęta pasły się na łące wśród rozrzuconych luźno skalnych kikutów i głazów narzutowych.

– Są tam! – wykrzyknęła Kathrin, podekscytowana perspektywą spotkania się ze starymi przyjaciółmi. – Samca nazywam Szefuniem, a samice to Daisy, Clara i Sara. Wymieniarnie w kolejności, w jakiej pasą się na prawo od pana i władcy. Ich dzieci nie rozróżniam.

Musiały urodzić się niemal równocześnie i są identyczne. – Podała Judowi lornetkę.

– Piękne zwierzęta – powiedział po chwili. – Wydają się być w dobrej formie. Bez trudu przetrwają zimę.

– Nie ma tu wilków ani innych drapieżników, które by im zagrażały. Jeśli chodzi o warunki życiowe, ta tundra latem to dla nich prawdziwy raj.

– Chciałbym zrobić im kilka zdjęć. Czy możemy podejść bliżej?

– Najlepiej ukryj się za skałami. Posuwają się w tamtym kierunku, więc prędzej czy później doczekasz się pięknej ekspozycji. Ja tymczasem zajmę tamten punkt obserwacyjny. – Wskazała ręką w skos na lewo, po czym wyjęła z kieszeni kurtki notatnik. – Notuję tu pewne rzeczy. Między innymi dane dotyczące częstotliwości, z jaką małe ssą swoje matki, lub dane wyznaczające stopień ich aktywności. Jak widzisz, moja praca to również zbieranie okruszyn.

– Okay, dołączę do ciebie za kilka minut.

Jud skupił się na doborze i wymianie obiektywu w aparacie fotograficznym, Kathrin zaś udała się we wskazanym kierunku. Skalne stożki, ku którym zdążała, okazały się być dalej, niż to z początku oceniła. Nauczyła się już brać poprawki na złudzenia perspektywy, jednak ta ciągle sprawiała jej niespodzianki. Granitowe głazy mieniły się w promieniach słońca bogatą paletą barw, od pomarańczowej żółci po głęboką czerń. Jud, była niemal tego pewna, zechce je sfotografować. Obejrzała się za siebie i zobaczyła go w pozycji „strzeleckiej” – z okiem przy aparacie ustawionym na statywie. Bardzo pasował do tej scenerii, zawsze zresztą wyobrażała go sobie na tle dzikiego krajobrazu. Lecz gdyby jeszcze dwa dni temu ktoś po wiedział jej, że znajdzie się wraz z Judem w tej dolinie, zarzuciłaby tej osobie nadmierne fantazjowanie.

Teraz wręcz miała ochotę wrócić się i najzwyczajniej go dotknąć, by przekonać się o realności jego istnienia. Pojawił się w jej życiu tak nagle i tak niespodziewanie, iż w jej poczuciu graniczyło to z omamem i snem.

A jednak nie zawróciła, tylko szła nadal ku wybranemu stanowisku, ciesząc oczy tęczowymi błyskami kwarcu i dziękując niebu za szczodroliwość, z jaką darzyło ziemię światłem i pogodą.

Zaczął się trudniejszy teren i zmuszona teraz była skakać z kamienia na kamień i wspinać się po skałach. Ten fizyczny wysiłek sprawiał jej radość. Dobrze było wrócić do pracy. Współżyć z dziką przyrodą, obserwować ją i wydzierać jej zazdrośnie strzeżone tajemnice. Wyszła zza skalnego załomu i stanęła jak wryta.

Trzy metry od niej stał samiec, przepiękny okaz renifera. Usłyszał ją i podniósł łeb zwieńczony bogato rozgałęzionym porożem. Prychnął i uderzył o ziemię racicą. Był to czterolatek, odpasiony i kształtny. Nigdy go przedtem nie widziała.

Jedną z podstawowych zasad obserwacji reniferów było nigdy nie zaskakiwać tych zwierząt. Wtedy atakują.

Niepokój samca wzrastał. Za chwilę mógł się przemienić w agresję.

Kathrin zaczęła się cofać. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak zwierzę bodzie ziemię, wyrzucając w powietrze kępy turzyc i mchów.

Ciągle cofając się, poszukała wzrokiem jakiegoś schronienia. Opanował ją lęk pomieszany z rozpaczą. Nigdzie nie było głazu, na który mogłaby się wspiąć. Jedne były za małe, drugie zaś zbyt strome i ostre. Pozostawała jedynie cicha i ostrożna rejterada przez łąkę w kierunku skał i piarżystych usypisk.

Zwierzę na szczęście wciąż ryło ziemię rogami, wyładowując w ten sposób swą wściekłość spowodowaną przestachem. Odległość pomiędzy Kathrin a samcem wzrastała. Dzieliło już ich prawie trzydzieści metrów.

Nagle renifer uniósł łeb, potrząsnął porożem, postąpił dwa kroki i puścił się galopem.

Nie było sensu uciekać. Kathrin dobrze wiedziała, kto tu jest szybszy. A poza tym w szarży zwierzęcia było coś tak fascynującego, taka harmonia i płynność ruchów, że w Kathrin, mimo iż bezbronnej i wystawionej na cel, wzięła górę pasja badawcza i wrażliwość estetyczna. Zarazem drżała ze strachu i podziwiała.

Wiedziała wszystko o reniferach. Więc również i to, że szarżujące zwierzę powinno się zatrzymać, zanim dosięgnie ją rogami. Głęboko w tej chwili chciała wierzyć, że informacji o reniferach nie przekazywali oszuści i nabieracze. Tak czy inaczej, przyszło jej sprawdzić teoretyczną wiedzę na własnym żywym organizmie, empirycznie...

Gdy pierwotny dystans skurczył się do czterech, trzech metrów, samiec zarył się przednimi racicami w ziemię. Przez chwilę kiwał łbem w lewo i w prawo. Chrapliwie dyszał, by zaraz uspokoić się i odejść lekkim, prawie tanecznym krokiem między skały.

Naukowa teoria okazała się być zbudowana na solidnych i rzetelnych podstawach, lecz mimo to pod Kathrin ugięły się nogi, a jej serce trzepotało niczym ptaszek w klatce.

Nawet nie miała siły się cieszyć, że niebezpieczeństwo minęło i jest cała i zdrowa.

Radość ta byłaby zresztą przedwczesna. Bo oto za sobą usłyszała kroki, jak gdyby tętent kolejnego szarżującego renifera. Z rozpaczą odwróciła głowę.

Ale to nie, był rozsierdzony samiec. Ujrzała biegnącego Juda.

Jego rozpięta kurtka falowała na wietrze, tworząc coś w rodzaju skrzydeł, a krucze włosy powiewały na kształt wijących się węży.

Dopadł i chwycił ją w ramiona.

– Czy nic ci się nie stało?

Miała zaschnięte gardło, więc tylko skinęła głową. Poczula na policzku łaskotliwą szorstkość jego wełnianego swetra.

– Powiedz coś, Kit! Wszystko widziałem. Myślałem, że to rozszalałe zwierzę weźmie cię na rogi. Pędziłem, modląc się o cud. I stał się cud. Ale mogło być całkiem inaczej. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że renifery bywają niebezpieczne?

Jego oddech owiewał jej czoło, pieścił jej skronie i stwierdziła ze zdumieniem, że nadal drży. Jednak nie było to poprzednie drżenie spowodowane strachem. Przypominało raczej przypływ pożądania. Ale nie pożądała, nie mogła pożądać Juda! Przed laty byli przecież niczym brat i siostra. To Ivor i tylko Ivor miał moc rozniecania w niej nieposkromionych namiętności.

Uniosła wzrok. Spotkała jego niespokojne spojrzenie, nie mogła jednak mu sprostać.

Wpatrzyła się więc w linię jego nosa. Dojrzała dobrze jej znaną krzywiznę. Znała źródło pochodzenia tej skazy. Jud miał wówczas szesnaście lat i jego pasją był hokej. Na jednym z meczów, w podbramkowym starciu, otrzymał silne uderzenie kijem. Pękła kość nosowa i jakkolwiek szybko się zrosła, ślad po ciosie pozostał.

– Staralam się być na każdym hokejowym meczu, w którym brałeś udział – powiedziała głosem, w którym zaledwie rozpoznała swój własny. – Ja i moje koleżanki zajmowałyśmy miejsca w centralnym sektorze, ty zaś zawsze po zdobytym голу wymachiwałeś w naszym kierunku kijem. My się darłyśmy i powiewałyśmy, czym popadło, a ty potrzasałeś tym kijem, niczym wojownik oszczepem, którym właśnie przeszył przeciwnika.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Grałem jako napastnik i czasami dopisywało mi szczęście. Lecz co ma hokej do oszalałego renifera?

Miał pięknie wykrojone usta. W ogóle rzucał na nią czar. Podniosła rękę i przejechała opuszką palca po jego dolnej wardze. Rozbłyskujące w jej wnętrzu isierki przemieniły się w płomień. To bez wątpienia było pożądanie. I to bez wątpienia był Jud, a nie Ivor. Sapał.

– Przestań – powiedział ostrym tonem. – Przestań wypróbowywać na mnie te swoje kobiece sztuczki.

Jej ramię opadło bezwładnie wzdłuż ciała.

– Nie uprawiam żadnych sztuczek.

– Wciąż kochasz Ivora. Pamiętam przecież, jak zareagowałaś na moje słowa o jego bliskim przyjeździe.

Zamknęła oczy. Cóż mogła odpowiedzieć na ten zarzut? Przez Juda przemawiało gniewne zaślepienie, a ślepy nie ujrzy kolorów.

– Nęcąca jesteś z tymi zamkniętymi oczami – usłyszała jego nieprzyjemnie brzmiący głos.

– W ogóle dobra jesteś w uwodzicielskich gierkach.

Uniosła powieki.

– Jak możesz tak mówić!

– Mówię prawdę. – Drwiąco uśmiechnął się. – On nigdy nie ożeni się z tobą, Kit. A jeśli liczysz na to, to jesteś po prostu nierozgarniętą gęsią.

Opanował ją gniew.

– Przyjmij do wiadomości, że przez te siedem minionych lat ani razu nie pomyślałam o małżeństwie z Ivorem.

– To w takim razie, dlaczego się z nim spotykasz? Zdumiały ją jego słowa.

– O czym ty właściwie mówisz?

Jud zaczął tłumaczyć jej jak małemu dziecku:

– Trzy lata temu wciąż widywałeś się z Ivorem, wiem to z pewnego źródła. A ponieważ on zawsze robi to, na co ma ochotę, trudno mi sobie wyobrazić, by nagle przestało mu zależeć na tych spotkaniach.

Gniew Kathrin przemienił się we wściekłość.

– Opowiadasz bzdury! Przez te siedem lat nie widziałam go ani razu! Tak samo, jak nie widziałam ciebie i twojego ojca. I bynajmniej nie tęskniłam za wami. Nie podjęłam też żadnej próby nawiązania kontaktu z Ivorem. Czy to jasne?

– Wiem z ust Ivora, że widywał się z tobą.

– Więc Ivor kłamał.

Boże, pomyślała, przecież zaledwie minutę temu przeżyła w jego ramionach niemalże orgazm! Cofnęła się od Juda o krok.

Wzburzony, nawet tego nie zauważył.

– Opuściłem więzienie trzy lata temu. Musiałem pojechać do Thorndean, by zabrać swoje rzeczy. Chciał nie chciał, spotkałem się z Ivorem. Powiedział mi, że nadal się widujecie.

– Wiesz co, Jud, albo ty w tej chwili oczerniasz przede mną Ivora, albo on wtedy okłamał ciebie. Doprawdy, trudno mi to rozstrzygnąć.

Usta, które jeszcze przed minutą pieściła, upodobniły się do długiej i głębokiej rany.

– W twoich oczach jestem kryminalistą, więc to ja muszę kłamać. Ostatecznie kilka lat życia spędziłem w pace, a więzienie deprawuje...

– Dość mam już tych ciągłych nawrotów do przeszłości. To takie jałowe. Poza tym, o ile pamiętam, zawarliśmy umowę, że zamykamy przeszłość na klucz.

Zrobił minę, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– To ty złamałaś umowę. Kto wspomniał o dawnych hokejowych meczach i kto spojrział na mnie z seksualnym głodem w oczach? Tylko nie próbuj zaprzeczać, bo oboje wiemy, że to prawda. – Zbliżył się i ujął jej twarz w swoje dłonie, ale nie było w tym geście ani cienia czułości. – Byłoby z twojej strony dowodem braku rozsądku grać ze mną w seksualną ciuciubabkę. Garry i Calvin nie przybiegną na ratunek, gdy stracisz grunt pod nogami... a wierz mi, że to niebawem może się stać.

Patrzyła w jego zimne oczy i słuchała głosu, w którym dźwięczała nuta bezdusznego okrucieństwa, a mimo to nie dawała wiary swym zmysłom. Jud nie mógł być taki. Człowiek aż do tego stopnia nie może się zmienić.

– Nie mogę uwierzyć, żebyś wyzbył się całkiem ludzkich uczuć. Każdy, tylko nie ty. Nawet gdybyś spędził w więzieniu pięćdziesiąt lat.

Zareagował jak po uderzeniu pięścią. Jego palce zwolniły uścisk.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

– Wbrew temu, co właśnie powiedziałem? Kiwnęła głową z poważnym wyrazem twarzy.

– Nie mogłeś zmienić się tak dogłębnie. Wciąż jesteś, przynajmniej w części, dawnym Judem.

Jego dłonie, opadły na jej ramiona.

– Dziękuję, Kit.

Łzy napłynęły jej do oczu i wówczas to się stało. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek.

Nie miała poczucia, że całuje brata. Przeciwnie, przywarła do niego całym ciałem i rozchyliła wargi, aby dać mu dostęp w głąb własnych ust. Zanurzyła palce w jego włosy i rozkoszowała się ich miękkością. Wyczuwała poprzez warstwy ubrań przyśpieszone bicie jego serca. W końcu wyczuła też coś innego. Bodący jej łono, twardy oścień jego żądz. Opanował ją irracjonalny strach.

– Wybacz mi, Jud – wykrzyknęła, odrywając usta. – Nie wiem, co mnie naszło. Chyba oszalałam, całując się z tobą w ten sposób. Przysięgam, nie chciałam tego. Wynikło to jakoś... samo przez się.

Spoglądał na nią w milczeniu. Ciężko oddychał. Jego oczy miały kolor obmytego nocnym deszczem porannego nieba.

– Czy nadal kochasz Ivora, Kit? – zapytał głosem zbliżonym do szeptu.

Zagryzła wargi. Jud zasługiwał na prawdę. Co jednak było tą prawdą?

– Kiedy powiedziałeś mi, że przyjeżdża, przeraziłam się. A w ogóle to nie wiem, co zostało z mojej do niego dziewczęcej miłości. Jest to być może bzdurna odpowiedź, ale tylko na taką w tej chwili mnie stać.

– Dzięki i za taką. Przez długi czas nienawidziłem go, prawie z taką samą zaciekłością, z jaką mój ojciec nienawidził mnie. Nie pilno mi więc do kochania się z kobietą, która w każdej chwili może mu się rzucić w ramiona.

Jeżeli Jud naprawdę tak myślał, to był po prostu śmieszny.

– Jest to tak samo mało prawdopodobne, jak to, że za chwilę rozbiore się i zacznę się z tobą kochać – odparła z buńczuczną miną. – Jeden pocałunek o niczym jeszcze nie świadczy.

– Nie całowaliśmy się jak brat i siostra.

Poczuła, że się czerwieni. Czyż mogła zaprzeczyć temu stwierdzeniu? Stał przed nią Jud i ona widziała w nim przede wszystkim godnego pożądania mężczyznę.

– Więc lepiej nie dotykajmy się już więcej – odparła z brutalną szczerością.

Oznaczało to, że w razie takiego dotyku, choćby przypadkowego, nie mogła ręczyć za konsekwencje.

– Wiele rzeczy powiedzieliśmy już dziś sobie, lecz żadnej tak jasno i dobitnie – rzekł z ironicznym uśmiechem, przeczesując palcami włosy. – Wracam na wzgórze fotografować renifery. Ty zaś staraj się powstrzymać od drażnienia i prowokowania ich.

– Zastosuję się do twoich rad – odparła oschłym głosem.

– Kit, ja... Niech to diabli! Do zobaczenia. Odprowadziła go wzrokiem na sam szczyt wzgórza.

Przyjechał tu, na ten cypel świata, z zamiarem odszukania jej. Wciąż nie wiedziała, co chciał przez to osiągnąć.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pięć godzin później Kathrin zamknęła swój notatnik, schowała go do kieszeni kurtki i zwróciła się do mężczyzny siedzącego na sąsiednim kamieniu:

– Muszę się przespać, Jud. Rozbiję namiot za tamtym skalnym załosem. Ziemia tam wydaje się bardziej sucha niż gdzie indziej.

– Obudzę cię, jeśli wydarzy się coś niezwykłego – odparł beznamiętnym głosem, nie odrywając oka od aparatu, którego teleobiektyw wycelowany był w pasące się stado reniferów.

Kathrin nie zwlekając zajęła się rozpinaniem rzemieni plecaka, a po kwadransie leżała już w śpiworze. Odgradzał ją od świata częściowo prześwietlony słońcem brezent namiotu. W jej uszach pobrzmiwały wymienione z Judem w przeciągu ostatnich godzin uwagi.

Wszystkie bez wyjątku dotyczyły spraw abstrakcyjnych i bardziej przypominały wzory matematyczne niż słowne ekspresje. Zamknęli przed sobą swoje wnętrza i był to chyba najrozsądniejszy wybór.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz szarżującego renifera. Był wielkiej urody i Kathrin zapragnęła ponownego z nim spotkania.

Nagle jednak jak gdyby czyjaś ręka zarzuciła jej koc na głowę i zasnęła.

Poczuła, że ktoś szarpie ją za stopę. Wyrwana z głębokiego snu, gwałtownie usiadła i otworzyła oczy. U wejścia do namiotu kulił się Jud.

– Co się stało? – wyszeptała.

– Mamy inwazję śnieżnych gęsi na dolinę. Pomyślałem, że zechcesz to zobaczyć.

Widziała już tego lata jedną śnieżną gęś, porzuconą przez stado i trochę zagubioną. Ale cała ich chmara to musiał być niezwykle widok.

Gdy wyczołgała się z namiotu i spojrzała w dolinę, ta wyglądała jakby przykryta świeżym śnieżnym puchem. Na obrzeżach tej białej lachy skubały trawę pojedyncze ptaki, z daleka przypominające kłaczki bawełny.

W pewnym momencie całe to ogromne stado poderwało się w powietrze z donośnym gęganem, by wykapawszy biel swych skrzydeł w słońcu, opaść na ziemię nieco dalej.

Kathrin zwróciła na Juda rozjaśnioną zachwytem twarz.

– Czyż nie są cudowne?! – wykrzyknęła, pełna entuzjazmu. – Tak się cieszę, że mnie obudziłeś.

Ale on nie patrzył na gęsi. Patrzył na nią, ślizgając się spojrzeniem po powierzchni jej bawełnianego, różowego dresu, który tu, w tundrze, służył Kathrin za piżamę. Materiał ściśle opinał jej ciało, uwydatniając wżgórki piersi, płaskowyż brzucha i płynne zakola bioder.

– Ja także się cieszę – powiedział, zapewne nieświadom faktu, że czystą niebieskość jego oczu zasnuwał właśnie granat pożądania.

Kathrin. obląła fala gorąca. Gdyby w tej chwili miała okazję przejrzenia się w lusterku, zobaczyłaby złocistość pomieszana z różem, gdyż jej włosy świeciły niczym złocista aureola, policzki zaś kolorem niewiele różniły się od różowego dresu.

Objawiła się Judowi niczym symbol świetlistego pastelowego piękna.

– Jud, ja...

– Nic nie mów.

Podszedł do niej, ujął w dłoń ciężkie pasmo jej kasztanowatych włosów i zanurzył w nie twarz. A potem jego wargi znalazły się na jej pulsującej szyi, ręka dotknęła piersi i z ust Kathrin uleciało głębokie westchnienie.

Pochyliła się do przodu, gotowa na wszystko. Znała swoją zmysłowość i wiedziała, że już pierwszy impuls może uczynić ją bezbronną i otwartą na oścież.

Przyzwalający odzew z jej strony wyraźnie ośmielił Juda. Wsunął dłoń pod gumowy ściągacz spodni dresu i zaczął pieścić jej brzuch, muskając koniuszkami palców splątane

włosy na łonie.

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno wpiła się ustami w jego wargi. Niemal przestali oddychać, drażąc językami mroczne korytarze zmysłowej namiętności.

Nagle porwał ją na ręce i zaniósł do namiotu. Nie broniła się, nie protestowała. Nie widziała zresztą w tej chwili innej drogi przed sobą, jak tylko zespolenie z tym mężczyzną, który i tak był niegdyś osnową jej życia.

Pozwoliła, by odsłonił jej ciało i długo sycił się jego widokiem.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał. – Tak nieprawdopodobnie piękna.

Pochylił się nad nią i po chwili poczuła na udzie twarde dotknięcie... Żar był tak silny, jak gdyby przypiekano ją rozgrzanym do białości prętem. Powróciła uszpięta dotąd pamięć. Tamten mężczyzna również przygniatał ją swoim ciałem...

Przyszło opamiętanie. Krzyknęła i całą siłą ramion brutalnie odepchnęła Juda. Opadł na plecy, lecz zaraz wsparł się na łokciu. Jego twarz wyrażała niepokój i zdumienie.

– Nie ma powodu się bać. To ja, Jud... pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętała. Nigdy zresztą nie mogła się uwolnić od tych lat spędzonych w Thorndean. Był to jakby jej garb, duchowe kalectwo.

– Nie mogę – wyszeptwała. – Po prostu nie mogę.

– Kit, tylko nie próbuj mi wmawiać, że jesteś dziewczyną.

– Nie, nie jestem dziewczyną.

Przesunął dłoń po czole. Mięśnie jego szczęk pulsowały.

– Czy to Ivor był twoim pierwszym kochankiem? Oczywiście, że on. Byłaś w nim tak zakochana, że nic poza nim nie istniało dla ciebie.

– Tak, to był Ivor.

Jud gwałtownym ruchem usiadł na śpiworze, przy czymomalże głową nie przedziurawił namiotu.

– Byłoby tysiąc razy lepiej, gdyby był to ktoś inny – rzekł głuchym, jakby nie swoim głosem.

Tak, byłoby tysiąc razy lepiej, pomyślała Kathrin, zakrywając dressem swą nagość. Nie miała odwagi powiedzieć Judowi całej prawdy. Bała się, że dowiedziawszy się o wszystkim, mógłby zabić swojego przyrodniego brata.

Wyjrzała z namiotu. Gęsi odleciały. Czy były rzeczywistością, czy też baśniowym tworem wyobraźni?

– Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Kit! Nie powinienem być cię dotykać i przysięgam, że już nigdy tego nie zrobię.

Była pewna, że jeśli teraz spojrzy na Juda, wybuchnie nieutulonym płaczem.

Sprawdziła godzinę.

– Zamierzam skontaktować się z Garrym przez radio. Czy chciałbyś z nim porozmawiać?

– Nie – odparł z taką pasją, jakby już nigdy w życiu nie miał zamiaru zamienić z kimkolwiek ani jednego słowa. – Pogadaj ze swoim szefem, a ja tymczasem zrobię kawę.

Uklęknął i poprawiłszy na sobie ubranie, wyszedł na czworakach z namiotu.

To już się stało prawdziwym rytuałem. Gdy pożądanie, uraza lub strach zaganiały ich w jakąś ślepą uliczkę, wybawienie znajdowali w najprostszych czynnościach dnia codziennego.

Kiedy została sama, Kathrin natychmiast sięgnęła po lusterko. Zobaczyła twarz obcej sobie kobiety. Kobiety, która gotowa była kochać się ze złodziejem i kłamcą. Co ją do tego skłaniało? Zagubienie w pustce polarnych przestrzeni czy też sentyment do człowieka, którego kochała niegdyś jak brata?

Od razu uzyskała połączenie z obozem. Podała swoją pozycję i wysłuchała prognoz pogodowych. Głos Garry'ego przebijał poprzez trzaski i szумы.

– Przekaż Judowi, że w okolicach Sverdrup Point zauważono polarnego niedźwiedzia.

Zdaje się posuwać w stronę naszego obozu. Mówię o tym, gdyż Jud przyznał w rozmowie ze

mną, że pali się wręcz do fotografowania białych misiów. Czekam na wiadomość od was o siódmej. Odbiór.

Poczuła się nagle lekka i radosna, jak gdyby ktoś uwolnił ją od gniotącego jej plecy ciężaru. – Skontaktuję się. Pozdrów Pam. Do usłyszenia. Obszarem, na którym dość często widywano polarne niedźwiedzie była połać lodowa pomiędzy Sverdrup Point a Carstairs. Jud, chcąc „ustrzelić” niedźwiadka, musiałby natychmiast wybrać się w drogę powrotną do obozu.

Nie zwlekając, udała się doń z tą wiadomością. Dosypywał właśnie sproszkowanej śmietanki do kawy, która wydawała się tak zawieszista i mocna, że jedna jej kropla zdolna byłaby zwalić z nóg renifera.

– No i? – zapytała, zdawszy relację. Miał nieprzeniknioną twarz.

– Widzę, że cholernie ci zależy na moim stąd odejściu.

– Przyznaję, że w samotności pracuje mi się lepiej.

– Czy tego właśnie oczekujesz od życia? Duchowego komfortu? Idziesz na łatwiznę, Kit. Aż coś w niej zakopiało. Pierwsze trzy lata po opuszczeniu Thorndean niemalże jej nie unicestwiły. Czego jak czego, ale pławienia się w duchowym komforcie na pewno nie można jej było zarzucić.

– Jak śmiesz mnie osądzać! – wybuchnęła. – Cała twoja wiedza o mnie sprowadza się do tamtych lat.

– Więc dlaczego nie zadasz sobie trudu wtajemniczenia mnie w przeżycia ostatniego okresu? – odparował. – Jedyna rzecz, jaką posiadamy tu w nadmiarze, to czas.

Mogła mu powiedzieć o sobie wszystko albo nic. Każda wyrywkowość i cząstkowość byłaby tu kłamstwem. Jednak powiedzenie całej prawdy Judowi przekraczało jej siły, – Jestem tutaj, by wykonać konkretne zadanie, a nie oddawać się gadaniu.

– Rób, jak chcesz – rzekł z posępną miną. – Lecz jeśli kiedykolwiek przestaniesz być na bakier z rzeczywistością, daj mi znać. Teraz zaś, póki woda jest gorąca, może byś tak ugotowała owsiankę? Bądź co bądź, minęło kilka godzin od naszego ostatniego posiłku. Strofował ją niczym małą dziewczynkę, lecz ona, mimo iż buntowała się wewnętrznie przeciwko takiemu traktowaniu, nie na to nie mogła poradzić.

Płatki owsiane z rodzynkami i cukrem smakowały niczym najwyszukańsze danie w najdroższej restauracji. Kathrin powoli uspokajała się. Zjadła swoją porcję i zjadłaby drugi talerz, gdyby to nie było zwykłą rozpustą. Potem podparła pięścią brodę i zapatrzyła się na stojące w dolinie stado reniferów.

Nagle ciszę przerwał głos Juda:

– Mogłabyś przynajmniej powiedzieć mi coś o swoich badaniach naukowych.

Tak, ten temat wydawał się dość bezpieczny.

– Zbieram materiały do mojej pracy doktorskiej na temat zachowania się zwierząt. Mam tu na myśli całą sferę współżycia i wzajemnych stosunków.

– O ile wiem, obserwacje tego typu można równie dobrze prowadzić w jakimś miłym i przytulnym laboratorium uniwersyteckim.

– Już na pierwszym roku studiów nabrałam niechęci do eksperymentów na królikach.

Lubię podpatrywać przyrodę w jej nieskażonym, naturalnym stanie. – Uczyniła szeroki gest ręką. – Tutaj nie dopatrzysz się ingerencji człowieka, a ja ze swoim notatnikiem, lornetką i kamerą filmową jestem tylko okiem.

– Wydaje mi się, że rozumiem, o co ci chodzi – powiedział z zamyśloną miną. – Pamiętasz zoo i polarnego lisa?

Pamiętała. Miała wówczas dziewięć czy dziesięć lat i wraz z Judem wybrała się do pobliskiego miasta, by zwiedzić ogród zoologiczny. W pewnym momencie stanęli przed klatką o rozmiarach dwa na dwa metry. Jej lokatorem był lis polarny, a właściwie okaz jego rzadkiej i wysoko cenionej odmiany zwanej lisem niebieskim. Zwierzę przez cały czas biegło w kółko, jak gdyby goniąc własny ogon.

– Gdy zobaczyłam go, wybuchnęłam płaczem i rzuciłam się z pięściami na stojącego w pobliżu strażnika.

– I chyba byś go zakatrupiła swoimi piąstkami, gdybym cię nie odciągnął – powiedział Jud z promykami uśmiechu w kącikach ust i oczu. – Ale to nie wszystko, gdyż w nocy wkradłem się na teren ogrodu i przeciąłem pręty klatki. Nasz lisek zwlekał. Patrzył na dziurę, będącą dla niego wrotami wolności, lecz jakoś nie mógł się zdecydować, czy przez nią czmychnąć. W końcu jednak zdobył się na odwagę i dał potężnego susa. Znikł pomiędzy klatkami, a zygzak jego pięknej, puszystej kity do tej pory widzę. – Sięgnął po kubek z kawą. – Wówczas to po raz pierwszy wszedłem w kolizję z prawem.

Nie mogła go za to potępić, wpadłaby w ten sposób w sprzeczność z samą sobą.

Ale tamta przewina podlegała już całkiem odmiennym kryteriom i ocenie. Tam złamane zostały uniwersalne zasady uczciwości.

– Dlaczego to zrobiłeś, Jud?

Drgnął. Domyślił się, że nie pyta o lisa.

– Zadaj to pytanie Ivorowi, kiedy się z nim spotkasz. Bo prędzej czy później będziesz musiała wybrać pomiędzy nami. Jeden z nas kłamie i to ty będziesz musiała zdecydować, który.

– Ale przecież w sądzie przyznałeś się!

Jak gdyby nie usłyszał tego okrzyku. Powtórzył z jeszcze większym naciskiem:

– Będziesz musiała zdecydować. Spojrzała ze smutkiem w głąb swojego kubka.

– Na razie muszę wracać do pracy.

– Idę z tobą.

A więc machnął ręką na białego niedźwiedzia. Oznaczało to, że ona i Jud będą musieli stoczyć ze sobą jeszcze niejedną walkę.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby omiotła wzrokiem dolinę. Skoczyła na równe nogi.

– Spójrz! To ten czterolatek, który mnie zaatakował! – wykrzyknęła, pokazując ręką. –

Tam, poniżej tych żółtawych piargów. Wygląda, jakby zmierzał ku stadu. Chodźmy!

Przeżyć następnych kilku godzin Kathrin nie wyrzekłaby się za wszystkie bogactwa tego świata. Jak gdyby Szefunio i młody intruz wiedzieli, co jest tematem jej pracy doktorskiej.

Mierząc się wzrokiem, dali popis pełnej gamy wzorów zachowania w walce o dominację.

Ryczeli tak przejmująco, jakby wcielił się w nich i tylko w nich odwieczny duch atawizmu.

Dolina odpowiadała echem.

Wreszcie nadszedł kulminacyjny moment tego szczególnego dramatu. Po wstępnych pogrózkach z obu stron, które przyjmowały już to formę tańca na sztywnych nogach, już to tupania i grzebania w ziemi racicami, oba samce pochyliły łby i godząc w siebie ostro zakończonymi, długimi i smukłymi rosochami, ruszyły do ataku.

Ziemia zadudniła, rozległ się suchy trzask szepionych w zderzeniu parostków, pękła jakaś odnoga i przysła niczym drzazga. To pierwsze starcie o niczym jednak nie rozstrzygnęło i samce rozłączyły się, by ponownie na siebie uderzyć.

Kathrin kątem oka widziała żonglującego aparatem Juda. Nie ustawał w pstrykaniu zdjęć, przerywając fotografowanie tylko dla zmiany kliszy bądź obiektywu. Była mu wdzięczna za tę dokumentację. Sama nie podołałaby wszystkiemu. I tak dwoiła się i troiła, by nadażyć z notowaniem i równocześnie nie zepsuć czegoś przy nagrywaniu dźwięków na taśmie magnetofonowej. Najzabawniejsze jednak było to, że pozostała część stada, a więc „małżonki” i „dzieci” Szefunia, wykazywała całkowitą obojętność na poczynania samców, jakby pewna zwycięstwa swego dotychczasowego pana i władcy.

Towarzystwo nie myliło się. Po trzecim starciu wojowniczy pretendent uznał przewagę sprowokowanego do walki przeciwnika i jał niespiesznie się wycofywać. Szefuniowi jednak to nie wystarczało. Puścił się za intruzem w pogoń i zmusił go do szybkiej ucieczki.

Zwycięstwo swoje obwieścił triumfalnym rykiem.

– Cholera, znów skończył mi się film – rozległ się z boku głos Juda.

Przypominał w tej chwili tamtego beztroskiego chłopca, z którym buszowała w lasach graniczących od północnego zachodu z Thorndean. A na dodatek ten chłopiec-mężczyzna emanował zabójczym wprost urokiem.

– Stanowimy zgrany zespół – powiedziała szczerze.

– Dwoje to w pewnych sytuacjach lepiej niż jedno. – Miał taką wprawę, że zmieniał kliszę w przeciągu kilkunastu sekund. – Jaki jest los samca, który przegrywa w pojedynku?

– Przez rok lub dwa żyje samotnie. Potem, jeżeli ich drogi się skrzyżują, znów może wyzwąć Szefunia. Jeżeli wygra, przejmie stado, a Szefunio pójdzie w odstawkę.

– Trudno zaprzeczyć, że istnieją pewne analogie pomiędzy społecznością ludzką a zwierzęcą. Nie nadużywałbym takich porównań, lecz myślę sobie, że już najwyższy czas, bym stoczył z Ivozem męską walkę. – Mimo ironicznej miny Juda, słowa jego zabrzmiały nader poważnie.

Ivor był cztery lata starszy od Juda i zdołał skupić na sobie całą miłość ojca. Ale teraz to Jud był starszy, gdyż dodawały mu lat przeżycia ostatniego okresu. Obaj bracia mieli więc mniej więcej równe szanse. Wynik w żadnym wypadku nie mógł być z góry przesądzony.

– Walczcie sobie, pojedynkujcie się, byleby tylko w tym całym układzie nie przypadła mi rola nagrody dla zwycięzcy – powiedziała ostrym tonem.

Ironiczny uśmieszek wciąż wykrzywił mu wargi, ale oczy patrzyły badawczo i przenikliwie. Po raz ostatni golił się w obozie i teraz ciemny zarost nadawał jego twarzy jakiś rys groźnej posepności.

– Tego nie mogę obiecać. Zachnęła się.

– Nie zapominaj, że jako ludzka istota posiadam prawo wolnego wyboru. Nie jestem Daisy czy Clara, które tam szczypią trawę i kierują się wyłącznie instynktem.

– Ale ty mnie pragniesz, Kit. Pragniesz mnie.

To była prawda i nie mogła jej zaprzeczyć. Miała ciało i to ciało pragnęło kontaktu z ciałem Juda.

– Być może. Co jeszcze nie świadczy, bym musiała iść na pasku własnych pragnień.

Pogładził ją po policzku.

– Chyba że uda mi się zmienić twoją postawę.

– Powiedziałeś, że nie będziesz mnie dotykał, Jud!

– I na razie dotrzymuję słowa. Nie przewidziałem, że wyrośniesz na taką niedotykalską osobkę, Kit. A przecież powinienem był to przewidzieć. Twoja matka trzymała cię w ryzach surowej dyscypliny. Pamiętam, że zabroniła ci, malowania ust i zmuszała, byś zawsze krótko obcinała włosy. Na wspomnienie matki Kathrin uśmiechnęła się.

– Szminkę i inne kosmetyki trzymałam w specjalnym schowku w szkole. – Z oddali dobiegł ich przejmujący ryk czterolatka. – Ale dość o szminkach i kredkach do oczu. Muszę wracać do pracy.

– Pójdę za tym nieszczęśliwcem i zrobię mu kilka zdjęć – powiedział Jud. – Spotkamy się później.

Tym razem Kathrin skoncentrowała swoją uwagę na najmniejszych renach. Podczas gdy reszta towarzystwa przeżuwała pokarm, oba cielaki wykazywały skłonność do igraszek i zabawy. Zabawy zwierząt, pomyślała Kathrin, był to niewątpliwie temat na opasłe dzieło. Minęło kilka godzin i o szóstej zdecydowała się zakończyć pracę.

Jud wrócił, gdy w garnku gotowało się chili, a na kamieniu stygły podpłomyki. Widocznie dopisywał mu humor, gdyż od razu zaczął pantomimę cmokania i obwąchiwania.

– Miejsce kobiety powinno być w kuchni – rzekł w końcu z uroczystą miną.

– Jeszcze jedna uwaga tego typu, a będziesz zaszuwał wyłącznie suchary.

– Ja będę opychał się sucharami, a ty nie zobaczysz zdjęć, które mam w aparacie.

To był bezczelny szantaż. Podała mu parujący talerz.

– Ubijmy interes. Zdjęcia za ciepłą strawę.

– Dzięki.

Zabrali się do kolacji i ku miłemu zaskoczeniu Kathrin popłynęła rozmowa jak za dawnych lat. Przekomarzali się, prześcigali w żartach i wymieniali uwagi o wszystkim, od chciwego zlizywania przez reny własnego moczu, spowodowanego ich nadzwyczajnym łaknieniem soli, po zjawiska kosmiczne i meteorologiczne.

Kathrin spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma, godzina, na którą umówiła się z Garrym. Garry zameldował, że biały miś znajduje się już tylko osiem kilometrów od obozu.

– Wyruszam w drogę – powiedział Jud, gdy Kathrin pożegnała się z szefem i wyłączyła radio. – Nie mogę wypuścić z rąk szansy zobaczenia żyjącego w stanie dzikim polarnego niedźwiedzia.

Po kwadransie był już gotowy do drogi.

– Jak długo zamierzasz tu pozostać? – zapytał, zapinając ostatni rzemień.

– Prowiantu starczy mi na cztery dni.

– Mniej więcej w tym samym czasie powinien przybyć Ivor.

. – Rozumiem. – Minimalizując racje, mogłaby przedłużyć pobyt w dolinie do tygodnia.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że myśl o zobaczeniu was razem napawa mnie entuzjazmem.

Odczuła te słowa jako napaść na swoją prywatność.

– A może obawiasz się, że będziemy rozmawiać o pieniądzach, które ukradłeś? Jud, twój ojciec zawsze traktował cię paskudnie, mogłabym więc zrozumieć, że w pewnym momencie mówisz dość i odpłacasz mu pięknym za nadobne. Ale nigdy nie zrozumieć, dlaczego zamiast otwartego odwetu zdecydowałaś się na działanie pokrętne, wyrachowane i utajnione.

– A ja nigdy nie zrozumieć – odparł w uniesieniu – jak mogłaś skłamać w związku z tym telefonem. Ty, która najlepiej ze wszystkich wiedziałaś, co znaczy dla mnie więzienie.

I znów napotkali przeszkodę nie do pokonania – próg nieufności i wzajemnego niezrozumienia.

– Nie podchodź do tego misia zbyt blisko – powiedziała zmęczonym głosem. – Białe misie bywają groźne, szczególnie jeśli je podrażnić.

– Będę uważał. – Głęboko wciągnął powietrze w płuca. – Wolałbym nie zostawiać cię tu samej.

– To dla mnie nie pierwszozna.

– Zawsze byłaś uparta.

– Miej się na baczności przed świstakami. – Ta stara pożegnalna formuła odżyła w jej pamięci niczym zapomniana melodia.

– A także szczurami i nietoperzami. – Przez chwilę ważył coś w sobie. – Kit, czy to naprawdę takie straszne dla ciebie, że widzisz mnie przy sobie?

– Trochę zawstydzające, trochę niesamowite, trochę podniecające, ale na pewno nie straszne – odparła po namyśle zgodnie z prawdą.

Jego twarz złagodniała, zbliżył się i pocałował ją w usta. Zanim zorientowała się, już wspinał się równym krokiem po piarżystym stoku. Odwrócił się dopiero na szczycie. Pomachał ręką.

Odpowiedziała mu tym samym. Długo nie opuszczała ręki, choć już dawno schował się za garbem. Podarował jej prezent dość nieoczekiwany. Sprawił, że po siedmiu latach znów poczuła się kobietą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ku jej wielkiemu zakłopotaniu, Kathrin zatęskniła za Judem.

Nie spodziewała się tego. Tak dotąd lubiła swoją samotną egzystencję w tundrze, gdzie jedynymi przyjaciółmi były reny i przelatujące lub osiadłe tu na lato ptaki, i oto nagle ta pełnia zmieniła się w brak. Brakowało jej Juda. Już w kilka godzin po jego odejściu, gdy wędrowny sokół śmignął w niebieskości niczym szara strzała, zrobiło się jej żal, że Jud wraz z nią nie śledził jego przelotu, gdyż był to ptak równie rzadki jak białozór islandzki. Tego wieczoru natknęła się w podmokłej kotlinie na kwitnące maki, a zaraz potem na kępkę błękitnych dzwonczków – z pewnością Jud zatrzymałby się, by utrwalić ich piękno na kliszy fotograficznej.

Wszystko zdawało się potwierdzać i umacniać jej tęsknotę. Prawie przestawała już wierzyć, że podczas poprzedniego tu pobytu czuła się szczęśliwa.

Dwa dni później stado przeniosło się do sąsiedniej doliny. Zbiegło się to w czasie z planowanym terminem powrotu do obozu. Ale Kathrin nie mogła wracać, przynajmniej nie teraz, kiedy reny znalazły się tak blisko rzeki. Mając za całe pożywienie orzeszki i rodzynki, podążała za stadem, aż wreszcie jej cierpliwość została nagrodzona.

Prowadzone przez Szefunia stado weszło do wody w miejscu naj płytszym, gdzie rzeka rozlewała się zmarszczoną płaszczyzną na ławicy piaskowej. Jedno z cieląt powąchało wodę i zaraz śmiesznie kichnęło. Rozbawione, lub też może przerażone własnym kichnięciem, dało niezgrabnego susa. Wylądowało na cztery nogi, wzbijając srebrzystą fontannę.

Zjawisko to najwidoczniej zaintrygowało je, gdyż powtórzyło skok.

Drugie zachowało się całkiem inaczej. Weszło do rzeki z ostrożnością kota, zanurzając najpierw jedną, potem drugą raciczkę, by w końcu dzielnym klusem przemierzyć wodną łachę i z niekłamaną ulgą wyskoczyć na suchy brzeg.

Kathrin śmiała się do rozpuku. Wiedziała już, że musi pożegnać stado. Żywność skończyła się, a poza tym czuła się fizycznie wyczerpana. Zjadła ostatnie krakersy, popiła je podwójnie osłodzoną kawą i wyruszyła w drogę. Czekala ją pięciogodzinna wędrówka dolinami i wzniesieniami tundry. Szkoda, że reny, zamiast zbliżać się do obozu, ciągnęły w przeciwnym kierunku.

Po czterech godzinach forsownego marszu zobaczyła barwne plamy obozowych baraków, błękitne oczka pobliskich jezior i zasnute mgiełką nadmorskie klify. Kolejna godzina.

Myślała już tylko o bliskim gorącym posiłku i rozkoszach łóżka. Nagle usłyszała charakterystyczny warkot śmigieł helikoptera. Spojrzała w kierunku, skąd dochodził dźwięk. Błyszcząca czerwienią niewielka maszyna podrywała się właśnie z ziemi w obłokach kurzu.

To mógł być helikopter Wora.

Zaschło jej w ustach, a nogi sparaliżował strach. Gdyby nie było to samobójczym pomysłem, najchętniej wróciłaby do swoich renów i już tam pozostała.

Helikopter poleciał na północny wschód, ku sercu tundry. Po chwili znikł za wzgórzami, gdyż trzymał się bardzo niskiego pułapu. A jednak Kathrin, przemierzając ostatni dzielący ją od obozu kilometr, bez przerwy penetrowała wzrokiem niebo w obawie, że zaraz się pojawi.

Czy była to intuicja, czy też podszept losu? Zaczynała właśnie okrążyć ostatnie jeziorko, to, w którym tydzień temu się kąpała po wybiegnięciu z sauny, gdy zza wzgórze po prawej wyskoczyła czerwona ważka, zbliżyła się z łoskotem śmigieł i zawisa wprost nad nią.

Uniosła głowę, odgarnęła z twarzy rozrzucone podmuchem włosy i spojrzała na pilota.

Mimo kasku na jego głowie i przydymionego szkła kabiny, rozpoznała go. Patrzyła na mężczyznę, którego niegdyś rozpaczliwie, do szaleństwa kochała. Poznałaby go zresztą wszędzie, w każdym czasie i w każdych okolicznościach. Nawet gdyby był osiemdziesięcioletnim starcem i nosił długą brodę.

Miała dwadzieścia cztery lata, lecz jej serce zabiło jak u czternastoletniej dziewczyny. Opanowała ją ogromna słabość, która nie miała nic wspólnego z wyczerpującą kilkugodzinną wędrówką.

Ivor wisiał nad nią, niczym drapieżny ptak nad swoją ofiarą. Silny prąd powietrza, który bił w nią od śmigła, zdawał się być powiewem jego skrzydeł.

Ruszyła i Ivor też ruszył, tyle że równoległą drogą powietrzną. Nagle jednak wzbił się w powietrze i skierował ku płaskiej łączce za obozem, służącej tu za lądowisko.

Obliczyła w myślach metry dzielące ją od jej drewnianego domku. Wypadło z rachunku, że spotka się z Worem, zanim jeszcze tam dojdzie. Taki układ zupełnie jej odpowiadał. Nie chciała, by to spotkanie przypominało tamto spotkanie z Judem, kiedy to po raz pierwszy po siedmiu latach zobaczyli się przy świadkach.

Gdzie był Jud? Czy przebywał w obozie, czy też gdzieś na lodowcu w pobliżu wędrującego polarnego niedźwiedzia? Czułaby się bezpieczniej, gdyby wiedziała, że śpi za jednym z tych okien.

Zobaczyła Ivora, jak biegnie schylony pod wirującymi wciąż łopatkami śmigła, zdejmując w biegu kask, przygląda ręką włosy, rozpina kombinezon. Obóz wydawał się jak wymarły. Spojrzała na zegarek. Była trzecia rano. Dlaczego nie jest ciemno i ona nie leży w łóżku, pomyślała i roześmiała się w duchu z absurdalności tego pytania.

– Cześć, Kathrin – powitał ją, podbiegając.

Nigdy nie nazywał jej Kit, do nazywania jej tym zdrobnieniem miał prawo wyłącznie Jud.

– Ivor... tyle lat – odparła ze spokojem, który wbił ją w dumę.

– Jeśli policzyć, to wypadnie siedem. – Wziął ją za rękę. – I jak się miewasz, mała?

Nic się nie zmienił, był piękny jak dawniej. W odróżnieniu od Juda miał jasne włosy, a rysy twarzy tak proporcjonalne, jakby wyrzeźbił je jeden z renesansowych artystów. Z całej jego postaci biła swoboda i pewność siebie. W oczach jaśniał uśmiech. Przy nim Jud wydawałby się w tej chwili zwykłym ponurakiem, i to zaledwie tylko przystojnym.

– Jakoś radzę sobie. A ty?

– Ja przede wszystkim się cieszę ze spotkania z tobą. – Ścisnął jej dłonie. – Jak pięknie wyglądasz.

Szczerze rozbawił ją ten komplement.

– Właśnie wracam po pięciu dniach spędzonych w tundrze. Załóż lepiej okulary, Ivor, a przekonasz się, że po czymś takim nie można wyglądać pięknie.

Nie odpowiedział śmiechem. O ile pamiętała, Ivor zawsze był pozbawiony poczucia humoru.

– Jud uprzedził mnie o twoim przybyciu. Zdaje się, że ty i twój ojciec chcecie rozszerzyć swoje imperium górnicze aż do koła podbiegunowego.

– A więc rozmawiałaś z nim o mnie. Jak na faceta, który spędził cztery lata w pace, Jud radzi sobie całkiem nieźle. Zbił fortunę na filmie o swoich przeżyciach więziennych. A teraz, słyszałem, pracuje nad swoją nową książką: setki kolorowych zdjęć, lecz treści tyle, co kot napłakał. No cóż, ludziska kupią wszystko, jeśli jest ładnie podane.

Nie były to słowa, które by świadczyły o braterskiej życzliwości. Kathrin uwolniła dłonie.

– Jeszcze jeden helikopter, powiedzmy zielony, którym przyleciałby twój ojciec, a zebrałaby się cała rodzinka – rzuciła z zimną ironią.

Uśmiechnął się.

– Ty również w pewnym sensie należałaś do rodziny. I właśnie przez wzgląd na dawne czasy mam prawo oczekiwać czulszego powitania.

Jak śmiał!

– Ivor, ty chyba wciąż bujasz w obłokach. Oboje wiemy, co się wydarzyło tamtej nocy. Nie licz na moją krótką pamięć. I uważaj, byś nie przekroczył pewnych granic.

– Nie tylko wyładniałaś przez te lata, lecz jeszcze nabrałaś werwy.

– Pomyśl więc, jak ze mną rozmawiać, by moja werwa nie przemieniła się w gniew.



– Kathrin, popełniłem wówczas błąd, przyznaję. I jakkolwiek to ty rzuciłaś się w moje ramiona, proszę, byś mi wybaczyła.

– Miałam siedemnaście lat, a ty dwadzieścia pięć.

– Pragnąłem cię. Przypominałaś długonogie źrebie. Byłaś dla mnie pokusą i obietnicą zarazem. Obietnicą, która zresztą spełniona została w nadmiarze.

Nagle Kathrin poczuła, że dokonuje się w niej jakaś wewnętrzna przemiana. Z oczu spadła łuska. Ujrzała Ivora takim, jakim był naprawdę. Jego wąskie usta nie były stworzone do śmiechu. Włosy były zbyt zadbane jak na jej gust, a oczy zdradzały kalkulację i namysł. Ivor objawił się jej jako człowiek wyrachowany i ostrożny. Dlaczego nie widziała go takim nigdy przedtem? Czy miłość aż tak zaślepia?

– Dlaczego starałeś się przekonać Juda, że nadal się widujemy?

Ze wzrokiem wbitym w biel śniegu pod stopami odparł:

– Starałem się w ten sposób ochronić cię, Kathrin. Chciałem z góry zablokować jego ewentualne próby nawiązania z tobą kontaktu. Przecież dopiero co wyszedł z więzienia.

– Nie potrzebuję twojej protekcji. Odkąd opuściłam Thorndean, nauczyłam się dawać sobie radę sama. Życie mnie do tego zmusiło.

– Przemawia przez ciebie gorycz.

Jej nozdrza spazmatycznie chwytają powietrze.

– A może miałbyś odwagę przyznać, że chociaż w części czujesz się odpowiedzialny za gorycz, którą mogę odczuwać?

Odparł wymijająco:

– Jud mógł cię zniszczyć, nie chciałem tego.

– To nie w twoim bracie się kochałam, tylko w tobie. I wiesz co? Wyleczyłam się całkowicie z tej miłości.

Uśmiechała się z taką radością, jakby faktycznie wstała z łóżka po długiej i ciężkiej chorobie.

– Jak możesz...

– Lecz musiałeś dopiero tutaj się zjawić, bym to sobie w pełni uświadomiła. Dlatego wdzięczna ci jestem za przybycie i za to spotkanie.

– Mówisz od rzeczy.

Zauważyła, że pod maską względnego spokoju kipi w nim złość.

– Ivor, przyznaj, że nigdy się we mnie nie kochałeś. To ja rzuciłam się w twoje ramiona, cytuję twoje własne słowa. Więc naprawdę nie masz powodu się gniewać.

Chwyił ją za ramiona z taką siłą, że aż zabolalo.

– To w nim się zakochałaś, czy tak?

I znów to poczucie, że spada jej łuska z oczu.

– Zgaduję, że masz na myśli Juda. Nienawidzisz go, prawda? Być może zawsze go nienawidziłeś.

– Miłość i nienawiść to bardzo silne uczucia. Jud, moim zdaniem, nie zasługuje na nie. Poczula się wyczerpana, biedna i przeraźliwie samotna.

– Już nie wiem, komu i czemu wierzyć.

– Jud zmarnował swoje życie i ty zmarnujesz swoje, zagrzebując się tutaj dla tych idiotycznych zwierzaków.

Zawładnęły nią jak najgorsze przecucia. Zdobyła się na pytanie, które właściwie powinna mu zadać zaraz na początku rozmowy:

– Gdzie ty właściwie poleciałeś dziś tym helikopterem?

– Garry mniej więcej zorientował mnie, gdzie mam cię szukać. Poleciałem więc ku tej dolinie i natrafiłem na stadko renów. Mojej Kathrin ani śladu, więc postraszyłem trochę te głupie zwierzaki i zawróciłem do obozu.

– Postraszyłeś je rozmyślnie? Wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że przeprowadziłem na nich pewien eksperyment. Kiedy wreszcie

rozkręcimy ten kopalniany interes, niebo nad tundrą zaroi się od samolotów i helikopterów. Zwierzaki muszą już zacząć przystosowywać się do nowych warunków.

– Ivor, jeżeli raz jeszcze postąpisz w ten sposób, pozwę cię do sądu. Nie żartuję. To ty jesteś skończonym głupcem, a nie te zwierzęta. – Aż się zatrzęśła z oburzenia.

– Spróbuj tylko to zrobić – rzekł głosem na pozór spokojnym, faktycznie jednak aż wibrującym groźbą – a przekonasz się, że mam jeszcze dość dowodów, aby wsadzić Juda do paki na następne cztery lata. A chyba tego byś sobie nie życzyła?

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jak mogłam być taką idiotką i zakochać się w tobie? Najpewniej musiałam postradać zmysły. – Policzki Kathrin płonęły, a oczy błyszczały jak żywica w słońcu.

Uśmiechnął się, i ten jego uśmiech mógł właściwie oznaczać wszystko – od kpiny po groźbę.

– Wracaj do siebie, Kathrin, i kładź się do łóżka. Porozmawiamy jutro. Ponieważ wbrew temu, co właśnie powiedziałas, między nami nic jeszcze nie jest skończone. Rozstali się i wszystko to wyglądało bardziej na sen niż na jawę. Na dodatek sen ten wcale nie chciał się skończyć. Bo gdy zbliżyła się do swojego domku, ujrzała opartego o parapet Juda. Lecz, o ile zawsze dawało się wyczuć nonszalancję w jego postawie, tym razem dominowało w niej napięcie istoty gotującej się do skoku.

Obrzucił ją spojrzeniem, w którym nie było ani cienia przyjaźni. Wrogim i pogardliwym.

– A więc nadal go kochasz. Świadczą o tym twoje rozszerzone oczy i rumieńce na policzkach. Zawsze Ivor. Dawniej, teraz i do grobowej deski. Powinienem przyznać ci medal za stałość i lojalność. Rzecz w tym, iż zalety te nie zawsze chodzą w parze z inteligencją i prawością.

Miarka przebrała się. Kathrin poczuła, jak coś w niej pęka.

– Kto tu śmie gadać o prawości? Kryminalista, oszust i kłamca! W kim siękocham, to moja prywatna sprawa. Nic ci do niej. A teraz zejdz mi z drogi, bo prawie padam ze zmęczenia.

– Owszem, zejdzę ci z drogi. I w ogóle będę się trzymał z dala od ciebie. Nie chcę resztek po moim bracie.

I równie nagle jak pojawił się, tak zniknął. Niestety, nie był to sen. Ramiona Kathrin zatrzęśły się od tłumionego szlochu. Otworzyła drzwi i weszła w chłodną pustkę izby. Zrzuciła buty i stanęła w samych tylko skarpetkach na macie uplecionej rękami jej matki. Zwiesiła głowę. Ujrzała pod stopami błękitne pasemko, strzępek koszuli Juda. Łzy popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Rzuciła się na prycę.

Boże, po co tu w ogóle wróciła? Dlaczego nie została przy swoich renach?

Obudziła się dopiero w południe. Spojrzała w okno. Pogoda zmieniła się. Ciśnienie gwałtownie spadło i z południowego zachodu nadciągnęły deszczowe chmury. Siąpiło. Szarość dnia kładła się na piersi ołowianą płytą. Kathrin skuliła się pod kołdrą. Nie miała ochoty wstawać. Oskarżenia Juda, groźby Wora, żarty Calvina, troskliwe zabiegi Pam – czuła się zbyt słaba, by zmierzyć się z tym wszystkim. Gdyby tylko miała tu jakieś zapasy, zostałyby w łóżku do jutra. Ale głód szarpał ją od środka i pchał ku ludziom.

Pam właśnie miesiła chleb. ‘Pod kuchnią buzowało niczym w piecu hutniczym.

Przyjaciółka uniosła głowę znad dzieży.

– Cześć, wędrowniczko. Pewnie marzysz o saunie... Ale co się stało?

Ku swemu przerażeniu Kathrin poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

– Wszystko w porządku – odparła załamującym się głosem, który już sam w sobie zaprzeczał temu zapewnieniu. – Gdzie inni?

– Garry z Ivorem poszli studiować mapy, wiesz, chodzi o te kopalnie. Karl i Calvin powinni lada chwila wrócić z wyprawy. A co do Juda, to brak mi danych. Facet nie opowiada się, co zamierza robić. – Wyjęła dłonie z ciasta i skosztowała rozczyntu. – Będzie sobie rosło, a ja tymczasem poratuję cię śniadankiem. W zamian oczekuję, że powiesz mi, dlaczego

wyglądasz jak zdechła foka.

– Pochlebiasz mi. Zdechła foka nie różni się niczym od foki wygrzewającej się w słońcu. Ja zaś uprzedzam, że jeśli przez te drzwi wejdzie Ivor lub Jud, wyskakuję przez okno.

– Wiedziałam, że to ich sprawka lub jednego z nich – powiedziała Pam, nakrywając dzieżę czystą ścierką. – Poznałam tego Ivora, pogadałam z nim trochę i wiesz co? Facet nie zachwyił mnie. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie.

Gdybym chciała się bawić w inspektora policji, to raczej jego podejrzewałabym o kradzież tych pieniędzy.

– Ale Jud się przyznał! – wybuchnęła Kathrin. – Po cóż miałby to robić, gdyby był niewinny?

– Sama go zapytaj.

– Ostatnio nie jesteście w najlepszych stosunkach.

– Innymi słowy, życie pisze kolejne odcinki tej rodzinnej sagi. Ale dość z ironią. Kto, twoim zdaniem, dopuścił się tej kradzieży?

– Gdybym знаła odpowiedź na to pytanie, nie beczałabym dziś w nocy w poduszkę.

– Ja obstawiam przy swoim. Nie ufałabym temu Ivorowi. Zostanie tu przez jakiś czas, bo pogoda się zepsuła. Więc miej się na baczności.

– Mam zamiar najeść się do syta, przespać resztę dnia, a wieczorem porozkoszować się sauną. Jutro zaś rzucam się do porządkowania moich notatek, których zebrały się już tony. Jak widzisz, w najbliższym czasie Ivor mi nie zagraża. Powiedz lepiej, co tu się wydarzyło ciekawego przez te ostatnie dni.

Pam rozgadała się, choć kilkusobowy obóz naukowy nie jest idealną wylegarnią plotek. Na koniec nie omieszkała dodać, że Judowi udało się zrobić piękną kolekcję zdjęć białego misia.

– A teraz ma w planach fotografowanie sokołów wędrownych. Popsuło mu szyki pogorszenie się pogody, ale gdy tylko błysnie słońce, wyrusza ku Wodospadom Smutku, gdzie gnieźdzą się te ptaki. Przez jakiś czas będziesz go więc miała z głowy.

– Moje reny posuwają się też w tamtym kierunku – zauważyła Kathrin z posepną miną.

– Nie wiem, czy dobrze robisz, unikając go.

– Przeciwnie, to on mnie unika.

Ale jeszcze tego wieczoru Kathrin miała się przekonać, że Juda trudno było zdefiniować jednym słowem. Kiedy bowiem ona i Pam wróciły do stołówki po saunie, Pam zauważyła w torbie brak szczotki do włosów.

– Jasny gwint, musiałam ją tam zostawić. Zaraz wracam. Przyjaciółka wybiegła z budynku, Kathrin zaś usiadła przy kuchni i jęła rozczesywać swoje długie włosy. Czajnik przyjemnie perkotał, krople deszczu uderzały o szyby i dach kryty papą. Było miło i ciepło. Poczula, jak spływa z niej zmęczenie ostatnich dni. Jedna normalnie przespana noc, a będzie zdolna stawić czoło choćby tuzinowi Ivorów i Judów.

Nagle drzwi się otworzyły i wdarł się do środka zimny i wilgotny strumień powietrza.

– Czy znalazłaś szczotkę? – zapytała Kathrin przez gęstwę mokrych włosów.

Zamiast odpowiedzi, cisza. Zaniepokojona, odrzuciła do tyłu naturalną woalkę. Napotkała spojrzeniem utkwione w niej oczy Juda.

– Nie wyglądasz na zachwyconą moim widokiem – powiedział bez ogródek. – Pewnie wolałabyś ujrzeć przed sobą mego braciszka.

– Rzuć monetę, a przekonasz się, którego z was darzę większą antypatią – odparowała.

– Nie okłamuj mnie, Kit! – warknął. – Przecież wiem, że zakochałaś się w nim, zanim jeszcze zaczęłaś rozróżniać litery. Dlaczego miałoby się to zmienić? I dlaczego najbliższych nocy nie miałabyś spędzić z nim właśnie?

Sugestia ta była tak absurdalna, że Kathrin z wielką ochotą skwitowała ją szczerym śmiechem. Przeszkodził jej w tym jednak wyraz twarzy Juda. Był to wyraz twarzy człowieka zdolnego w tej chwili do każdej zbrodni.

– Nie patrz tak na mnie, bo jeszcze zacznę wzywać pomocy.

– Doprawdy? – spytał grobowym głosem. – Miałabyś większe ku temu powody, gdybym zastał cię tu z Ivorem.

Tak, Jud nie żartował. Czują to całą sobą. Z jego obłądnie niebieskich oczu wiało bezlitosnym chłodem. Miał zaciśnięte, pobladłe usta i dłonie zwinięte w pięści. A kiedy podszedł i już nie dłonią, a pięścią prowokacyjnie dotknął jej biustu, ogarnął ją taki strach, jak gdyby miała do czynienia z notorycznym mordercą. Spojrzała ku drzwiom w rozpaczliwej nadziei, że ujrzy wchodzącą Pam.

– Jud, błagam, nie rób tego!

– Czy również wykrzykiwałabyś to swoje „nie”, gdyby dotykał cię Ivor?

– Chcę, żebyście zostawili mnie w spokoju. Obydwaj! – wykrzyknęła.

Gwałtownym, pełnym irytacji ruchem wepchnął pięści w kieszenie spodni.

– Skąd u ciebie, Kit, taka zapiekłość? – spytał.

– Ty i Ivor jesteście tacy sami. Myślałam, że różnisz się od niego, ale teraz wiem, iż więcej was łączy, niż dzieli.

– Mówisz coś, w co sama nie wierzysz.

Gdyby w tej chwili patrzyła nań, zobaczyłaby na jego twarzy wyraz bólu i goryczy. Ale wzrok miała utkwiony w trzymanej w ręku szczotce do włosów.

– Nie jesteś Judem, którego znałam i któremu bezgranicznie ufałam. Stałeś się innym człowiekiem.

– Zostań przy swoim zdaniu. Wiedz jednak, że w moich uczuciach do ciebie nic się nie zmieniło – odpowiedział jakimś dziwnym głosem.

– Jak ci nie wstyd tak rażąco mijać się z prawdą. Jud, proszę, zostaw mnie w spokoju! Wydawało się, że zaraz eksploduje. Opanował się jednak.

– Powiedzmy, że zostawię cię w spokoju. Czy wówczas będziesz trzymała się z dala od Wora?

Zdobyła się na odwagę i spojrzała mu prosto w twarz.

– Nie możesz się wtrącać do mojego prywatnego życia. Straciłeś do tego wszelkie prawa.

Między nami wszystko skończone, Jud. Koniec nastąpił z chwilą, gdy udowodniono ci winę i skazano na więzienie. Myślę też, że te cztery lata w towarzystwie przeróżnych przestępców miały decydujący wpływ, jeśli chodzi o przeobrażenie, jakie się w tobie dokonało. W gruncie rzeczy nie żałuję, że spotkaliśmy się tutaj. Dzięki temu poznałam cię lepiej i mogę już z całkowitym przekonaniem stwierdzić, iż nic nas nie łączy, jesteśmy obcymi sobie ludźmi.

Wiedziała, że mówiąc te słowa zachowuje się wyjątkowo okrutnie, i świadomość tego napełniała ją niewyobrażalnym wprost smutkiem.

– Kit, ja nie ukrađem tych pieniędzy. – Powiedział to z taką miną i takim głosem, jakby każde słowo kosztowało go rok życia.

– To nie jest już takie ważne jak dawniej – odrzekła znużonym głosem. – To już przestało mnie obchodzić. Chcę jedynie, byś zostawił mnie samą.

– Bo pragniesz wrócić do Ivora. On w twoich oczach uosabia bezpieczeństwo, tak niezbędne każdej kobiecie. A tymczasem, gdybyś miała choć odrobinę cywilnej odwagi, odnalazłabyś prawdę.

Ten mężczyzna albo ogłuchł, albo oszalał!

– W ogóle mnie nie słuchasz. Mam po dziurki w nosie was obu. Obu!

– Ale przecież w jednej sekundzie nie uwolnisz się od nas. Żyjemy tu jak na niewielkiej wysepce i siłą rzeczy będziemy na siebie wpadać. Przy śniadaniu...

– Żadnych wspólnych śniadań czy obiadów. Jutro znów wyruszam w tundrę.

Za drzwiami rozległy się czyjeś kroki. Z szybkością jastrzębia spadającego na swoją ofiarę Jud chwycił ją w ramiona i pocałował w usta. Nawet nie zdążyła zaprotestować. Ujrzała tylko w jego oczach wściekłość zmieszaną z pożądaniem.

Usłyszeli skrzyp otwieranych drzwi, a zaraz potem wesoły głos Calvina:

– Czy nie przeszkadzam? Sauna do twojej dyspozycji, Jud.

– Dzięki, Calvin – odparł z kamienną twarzą. – Kit, kiedy indziej dokończymy tę rozmowę. Chyba po mojej śmierci, odpowiedziała w myślach. Odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Zauważyła, że jego krucze włosy zachodzą mu z tyłu na kołnierz kurtki.

Calvin uniósł wieczko czajnika.

– Cudownie widzieć gotującą się wodę. Czy ty również, Kathrin, napijesz się kawy?

Nie zniosłaby teraz samotności w swej chatce.

– Wolę gorącą czekoladę.

– Fajnie, że nie był dziś znowu moim towarzyszem w saunie – powiedział grubasek, gdy kroki Juda umilkły na dworze.

– Dlaczego? – zapytała, lecz zaraz pożałowała swojego pytania. Skończyła z Judem i nic, co się z nim wiązało, nie powinno być jej obchodzić.

– Ponieważ pobyt w ciasnym zamkniętym pomieszczeniu przeżywał, jakby został uwięziony w klatce. Był nerwowy i niespokojny. Przypominał tych pasażerów samolotu, którym dostały się miejsca przy drzwiach i którzy wciąż na nie spoglądają. Wykazywał wszystkie objawy klaustrofobii. – Calvin wsypał do swojego kubka dwie czubate łyżeczki kawy.

Kathrin ogarnęło współczucie, a najdziwniejsze, że stało się to zupełnie wbrew jej woli. Jud spędził za kratami pełne cztery lata. Czy tego rodzaju doświadczenie może przeminąć bez głębokiego śladu w ludzkiej psychice?

– Chociaż z drugiej strony, przyznaję, było miło na chłopca popatrzeć. Ma sylwetkę atlety. – Calvin obrzucił krytycznym wzrokiem swój zaokrąglony brzuszeczek. – O mało co nie nabawiłem się kompleksu niższości. – Sięgnął ku blaszanemu pudełku i wyjął z niego krusze ciasteczko.

Pam, sprawczyni tych wszystkich kulinarnych rozkoszy, weszła właśnie do kuchni w towarzystwie Karla.

– Długo szukałaś tej szcztoki – zauważyła Kathrin Iz mimowolnym przekąsem. Tamta zalotnie uśmiechnęła się.

– W poszukiwaniach pomagał mi Garry. Zostaw coś dla niego, Calvin.

– To przez ciebie przybieram na wadze – mruknął grubasek, ostentacyjnie sięgając po następne ciastko. – Stanowczo jest tu za mało kobiet. Pam kocha Garry'ego, Kathrin zerka ku Judowi. Co ja, biedaczysko, będę porabiał w sobotni wieczór?

– Ku nikomu nie zerkam! – zaprzeczyła Kathrin z jakąś nadmierną pasją i dopiero teraz zauważyła, że dołączył do nich Ivor.

– To miejsce, jak widać, sprzyja romansom – rzekł z nieodgadnioną miną. – Nie powiedziałaś mi, że kochasz się w moim bracie, Kathrin.

– Calvin za dużo czasu poświęca algom – powiedziała, lekko zmieszana. – Stąd przerost wyobraźni i psikusy z jej strony.

– Pogadaj z Garrym, Pam. – Calvin przywdział na twarz uśmiech niewiniątka. – Może wyszuka dla mnie ochotniczkę interesującą się glonami. Ma być ładna i niezbyt wysoka.

– Znam taką właśnie osobę – wtrącił się Karl do rozmowy. – Mieszka pod Sztokholmem i jest moją kuzynką. Poznam was ze sobą, Calvin.

– Blondynka, niebieskie oczy, kapłanka wyzwolonego seksu. – Calvin błazeńsko przewracał oczami.

– Wszystko się zgadza – potwierdził Karl ze śmiertelną powagą. – I jeszcze czwórka dzieci na dokładkę.

Żart w ustach Karla był taką rzadkością, że wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Wora, zauważyła Kathrin. Patrzył na nią oczami zimnymi jak kawałki lodu.

Nerwowo popiła z kubka swoją czekoladę.

Pierwsza opuściła towarzystwo, a wróciwszy do siebie, zabarykadowała drzwi. Tym razem

użyła do tego celu stelaża od plecaka. Zsunęła zasłony, wskoczyła do łóżka i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero po ośmiu godzinach.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Kathrin tego ranka weszła do stołówki, wszystkich już tam zastała. Jud i Ivor siedzieli możliwie najdalej od siebie. Zajął miejsce mniej więcej w równej odległości od obu braci i naląła sobie soku pomarańczowego.

Światło i cień, pomyślała. Jasne włosy Ivora i kruczoczarne Juda. Niewinność pierwszego i wina drugiego.

Czy jednak w życiu faktycznie zdarzają się tak proste podziały? Wczoraj Jud wykrzyczał z siebie, że nie ukradł tych pieniędzy. Więc jak to się stało, iż wszyscy, nie wyłączając wymiaru sprawiedliwości, pozostawali w błędzie?

Ukradkowo zerknęła na Ivora. Jego regularne rysy twarzy jakby wyszły spod dłuta rzeźbiarza. Zarys profilu cechowała prawie niezemska doskonałość. Usiłowała przypomnieć sobie, czy na tej tak wzorcowo pięknej twarzy widziała kiedyś wyraz współczucia, smutku lub przebaczenia. Wiedziała już, że Ivor nie kocha brata. Być może nie kochał nikogo z wyjątkiem siebie.

Pam postawiła przed nią śniadanie. Kathrin umaczała grzankę w syropie klonowym, po czym przeniosła spojrzenie na Juda. Ten wiódł z Calvinem jakąś polityczną dyskusję. Żywo gestykulował ręką uzbrojoną w widelec, a kiedy zdobywał punkt, rozpromieniał się na twarzy. Często na jego słowa Calvin reagował wybuchem śmiechu.

Tak łatwo było wyobrazić sobie Juda śmiejącego się lub płaczącego, nieprzytomnego z wściekłości lub szalejącego z uciechy. Jud reprezentował sobą ekspresywność posuniętą do najdalszych granic. Na jego twarzy jak na ekranie odbijały się wszystkie wewnętrzne przeżycia.

Zatem, który z nich dwóch pasował bardziej do wyimaginowanego wizerunku wyrodnego syna, z zimną krwią, systematycznie okradającego swego ojca?

Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista. Kathrin poczuła, że traci grunt pod nogami i popada w jakieś skrajne duchowe pomieszanie.

Szybko skończyła jeść śniadanie i poszła do kuchni wyręczyć Pam w zmywaniu. Musiała coś zrobić, czymś się zająć, na jakiejś prostej czynności skoncentrować swoją uwagę. Dźwięczało w niej, niczym dzwonek alarmowy w pustej, nadakustycznej przestrzeni, jedno jedyne pytanie: Dlaczego Jud, skoro był niewinny, przyznał się do wszystkiego?

Nagle krzyknęła z bólu. Ukrop, który wylewała z garnka do miski, chlusnął na jej prawą dłoń.

Jeszcze nie przebrzmiał jej bolesny okrzyk, gdy doskoczył do niej Jud. Natychmiast zaciągnął ją do zlewu i na oparzoną dłoń puścił strumień lodowatej wody. Ból momentalnie zelżał, ale na wierzchu dłoni i nadgarstku pojawiła się brzydka czerwona plama.

– Dlaczego, głupia gąszo, nie poprosiłaś kogoś z nas o pomoc? – zapytał, nie mogąc ukryć zdenerwowania.

– Przestań traktować mnie, jakbym miała dziesięć lat... Ale on wcale jej nie słuchał.

Wpatrywał się w czerwoną plamę, niczym w zarys na mapie tajemniczej, długo poszukiwanej wyspy. A potem pochylił głowę i najdelikatniej jak można dotknął wargami oparzenia.

I tak trwał z ustami przy jej dłoni, ona zaś straciła poczucie czasu i pogрузzyła się w ciepłej toni zmysłowego doznania.

Skrzypnęło krzesło, czar przysł.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że wszyscy na nich patrzą. Calvin z rozbawioną miną, Pam z zadowoloną, Garry ze zmartwioną, Karl ze zdumioną. Ivor patrzył wrogo. Wręcz emanował wrogością.

Nagle usłyszała szorstki, a przez to niezwyčajny głos Garry'ego:

– Za kwadrans przyjdź do mnie, Kathrin, na chwilę rozmowy.

Kiedy o wyznaczonej porze zjawiła się w baraku, gdzie mieściła się radiostacja i gdzie

zazwyczaj urzędował Garry, ten wskazał jej krzesło, po czym dwa razy odchrząknął i powiedział:

– Kathrin, nie będę owijał rzeczy w bawełnę. Staję wręcz na głowie, żeby atmosfera w obozie sprzyjała pracy i zacieśnianiu więzów koleżeńskich. Tymczasem z chwilą przybycia tu Juda i Ivora moje wysiłki idą na marne. Pomiędzy tobą a nimi panuje prawdziwa wojna. Pam wtajemniczyła mnie w kulisy waszych wzajemnych stosunków, lecz szczerze mówiąc, przeszłość mnie nie obchodzi. Oczekuję od was, a szczególnie od ciebie, nie tyle nawet zawieszenia broni, co zgody i dobrego współzycia.

Kathrin zaczerwieniła się. Została wyłajana za coś, co było poza jej kontrolą i możliwością ingerencji.

– Ivor i Jud zawsze patrzyli na siebie wilkiem. Nie możesz czynić mnie odpowiedzialną za panującą między nimi nienawiść.

– Ale ty jesteś jednym z wierzchołków tego trójkąta. Nie rozstrzygam tu, kto z was ma rację, a kto jej nie ma. Trzymam się tylko faktów. A fakty są takie, że Ivor nie odleci, dopóki nie poprawi się pogoda. Jud natomiast jest naszym donatorem i muszę obchodzić się z nim w białych rękawiczkach. Dlatego zdecydowałem, że jeszcze dziś po południu wyruszysz z nim do Wodospadów Smutku.

– Garry, litości!

– Zajmiesz się swoim stadem, a Jud będzie fotografował sokoły wędrowne – ciągnął Garry z niewzruszoną miną. – Kathrin, nie rzucaj mi kłód pod nogi. Rola szefa stacji badawczej nie ma nic wspólnego ze spijaniem nektaru z polnych kwiatków.

– Jasne, że obchodzą mnie tylko moje reny. – Chciała zyskać na czasie. – Ale wiem, że Ivor rozproszył je wczoraj śmigłowcem, i bardzo się o nie martwię.

Garry ściągnął brwi. Zasepił się.

– Tak, jeśli powstaną tutaj kopalnie, to wraz z nimi pojawi się mnóstwo problemów ekologicznych. Dlaczego ci biznesmeni wciąż łakną więcej pieniędzy?

Pytanie należało do rzędu retorycznych i Kathrin nie musiała na nie odpowiadać.

– Ostrzegłam Ivora, że jeśli jeszcze raz zachowa się tak barbarzyńsko wobec zwierząt, zaciągnę go do sądu. Co się zaś tyczy Juda, to przecież może sam znaleźć te wodospady.

– Uważam, że w jego towarzystwie będziesz bezpieczniejsza. Pogoda popsuka się i różnie może być. Poza tym mam nadzieję, że tam, w tundrze, uda się wam wyjaśnić pewne rzeczy i dojdziecie do porozumienia.

– To oczywiście byłoby wspaniale, ale nie licz zbyt na taki happy end. Ja w każdym razie nie mam złudzeń. Lato szybko ucieka i nie mam zamiaru prowadzić go za rączkę do tych sokołów. Dla mnie liczą się tylko reny.

– Reny, podejrzewam, są już o rzut kamieniem od wodospadów.

Garry należał do najbardziej upartych typów pod słońcem i kiedy wbił sobie coś do głowy, podporządkowywał tej idei całą rzeczywistość.

Kathrin poddała się. Rozłożyła ręce.

– Okay. Powiedz Judowi, że wyruszamy o trzeciej. Myślę, że uda mi się do tej pory uporządkować notatki.

Wracała do siebie z ciężkim sercem. Błoto chlupało pod nogami. Nie chciała wyruszać w tundrę razem z Judem. Obawiała się, bo wiedziała, że Jud zawsze zdobywał to, czego pragnął. A po scenie w kuchni nie miała już wątpliwości, że pragnął jej, Kathrin.

Praca nad notatkami uspokoiła jej nerwy. O wpół do trzeciej wstała zza biurka i zajęła się pakowaniem. Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Ivor.

– A więc wybierasz się razem z Judem.

– Tylko dlatego, że zostałam o to poproszona.

– Nie radziłbym wchodzić w zbyt ścisłą komitywę z moim braciszkiem. Mogę bardzo łatwo wysłać go z powrotem do więzienia.



Było coś leniwego w jego głosie i postawie.

– Czy przyszedłeś tu tylko po to, aby mi to powiedzieć?

– Nie żartuję.

– Jasne, że nie żartujesz. Radziłabym ci jednak przełożyć taką decyzję na wieczne nigdy.

Sam bowiem możesz znaleźć się w więzieniu za krzywoprzysięstwo i błędne przedstawienie faktów. Zaczynam wątpić, czy to rzeczywiście Jud ukradł te pieniądze.

– Nie bądź głupia, Kathrin. Wiesz dobrze, że nie mogłem wykonać tamtego telefonu, a poza tym Jud sam się przyznał.

Nie tyle to stwierdzenie, co spokój i opanowanie Wora zbiło ją cokolwiek z tropu.

Wiedziała, że w tej chwili niczego nie rozstrzygnie.

– Wychodzę.

Zarzuciła plecak i omijając Wora, skierowała się ku drzwiom. Ten jednak dopadł ją jednym skokiem, chwycił za ramiona i pchnął na ścianę. Plecak na szczęście złagodził uderzenie.

Poczuła usta Wora na swoich i jego dłoń na swojej piersi. Po sekundzie oba te miejsca zmieniły się w źródła bólu. Gwałciciel gryzł, szarpał, miętosił. Nie miała żadnych szans obrony. Zdołała tylko pomyśleć, że chyba szaleństwo rzuciło ją niegdyś w ramiona tego mężczyzny.

Puścił ją równie nagle, jak zaatakował.

– Nie zapomnij tego, co powiedziałem. Jedna moja wizyta u prokuratora, a Jud z powrotem ląduje w pace.

Otarła usta wierzchem dłoni. Opuściła dom jak w transie. Po chwili zobaczyła Juda. Czekał na nią na środku drogi. Minęła go bez słowa. Siąpiło. Szara kopuła z ołowiu wydawała się na wyciągnięcie ręki. Gdzieś z prawej rozległa się żalosna skarga nura.

Po chwili Jud dogonił ją i chwycił za łokieć.

– I jak wypadło pożegnanie z Worem? Namiętny pocałunek?

– Przestań zachowywać się jak marny aktor w słabej sztuce. Jeżeli nawet on mnie pocałował, to ja nie oddałam pocałunku.

Jud wpatrywał się teraz w jej usta. Jego oczy płonęły groźnym blaskiem.

– Ugryzł cię. Twoja warga krwawi. Oblizła słoną krew.

– Może zainteresuje cię też wiadomość, że ma na ciebie jakieś dowody i odgraża się, iż może je ujawnić.

– Zranił cię i mógłbym go za to zabić.

Kathrin przeniknęła chłód aż do szpiku kości. Uwierzyła, że Jud byłby do tego zdolny. Być może był człowiekiem zdolnym do największego dobra i najgorszego zła.

Przez jakiś czas szli w milczeniu błotnistą, śliską ścieżką. Deszcz ciągle padał. Strużki wody spływały po twarzach. Nieprzemakalne, szczelnie zapięte kurtki dobrze chroniły ciała.

Wciąż wiało od południowego zachodu. Gdy jednak przeszli na drugą stronę piarżystego garbu, wiatr zaczął przeskakiwać ponad ich głowami.

Zaczęli wymieniać uwagi o krajobrazie. Kathrin podobał się siwy kolor wody w rzece, Jud zauważył, że mimo deszczu i fatalnego oświetlenia kwiaty tundry niewiele straciły ze swych barw. Minęli rozrzucone na przestrzeni kilkunastu metrów kości renifera.

Kończyła się właśnie trzecia godzina ich marszu, gdy zobaczyli stado.

– Patrz, tam nad rzeką! – wykrzyknęła Kathrin, nie mogąc ukryć wzruszenia. – Zmieniły kierunek i zbliżają – się teraz do obozu.

– A może zatrzymamy się na odpoczynek i wypijemy coś gorącego?

Kathrin znajdowała się w nastroju tak podniosłym, że zgodziłaby się w tej chwili na wszystko.

– Marzę o herbacie z ciasteczkami.

Gdy podwieczerek dobiegł końca, powiedziała cichym, niemniej mocnym głosem:

– Tu się rozstajemy. Ja zostaję przy renach, a ty kierujesz się ku wodospadom.

Zwęził oczy do szparek.

- Garry sugerował, żebyśmy w taką pogodę trzymali się razem.
- Wytłumaczyłam Garry'emu, że nie jesteśmy dziećmi.
- Zresztą po cóż mam tam drałować, skoro i tak deszcz uniemożliwia robienie zdjęć.
- Ale może padać i przez trzy dni!
- Garry w rozmowie ze mną wyraził nadzieję, że nauczymy się współżyć ze sobą i w ogóle unormujemy nasze wzajemne stosunki.
- Jest to mniej więcej tak samo prawdopodobne, jak to, że Szefunio zacznie jeść z mojej ręki.

– Ja w każdym razie gotów jestem próbować przy każdej okazji, najdroższa Kit.  
Uniosła oczy ku deszczowemu niebu.

– Nie udawaj dżentelmena, Jud. I tak zrobisz, jak ci się będzie chciało. Zadaję sobie jedynie pytanie, dlaczego marnuję tyle czasu i energii na różne sprzeczki z tobą.

– By na nie odpowiedzieć, musimy . przeprowadzić przynajmniej dwudniową dyskusję.  
Kathrin wyrzuciła z kubka fusy po herbacie i oznajmiła:

– Ja idę do pracy. A ty rób, co ci się podoba. I nie czekaj na mnie, wyruszam na kilka godzin. – Wyjęła z plecaka notatnik i magnetofon. – Cześć.

– Uważam, że jest to wspaniałe miejsce na rozbić namiotów. Zajmę się tym, ty zaś postaraj się nie przemoknąć. Do zobaczenia.

Spojrzała na jego twarz. Miał przyklepione do czoła włosy, a strużki wody ściekały mu po policzkach. Jego oczy, te niemożliwie niebieskie oczy, triumfalnie błyszczały. Musiała przyznać, że miał powody do świętowania zwycięstwa. Znowu postawił na swoim.

Ruszyła w dół trawiastym zboczem. Planowała zbliżyć się do stada na jak najmniejszą odległość. Wymagało to szczególnej ostrożności i wyostrenia wszystkich zmysłów. Na szczęście wiatr wie' w jej kierunku, siekąc zimnymi kroplami deszczu prosto w twarz. Soczysta trawa tłumiała jej kroki. Było tu sporo rozrzuconych głazów i kamieni, za którymi w razie czego mogła się ukryć.

Gdy dzielił ją od stada dystans mniej więcej pięćdziesięciu metrów, uznała, że dalsze posuwanie się do przodu byłoby zbyt ryzykowne. Wyjęła lornetkę. Szefunio szczypał trawę tuż przy rzece, Daisy zaś w pewnej od niego odległości. Samice baraszkowały na gołym skrawku ziemi, bodąc się dla żartów i taplając w błocie. Towarzyszyło im jedno z cieląt, które, znudzone, wróciło zaraz do swojej matki, Sary. Clara leżała, przeżuając pokarm. Jej dziecko musiało położyć się za nią, chłonąc jej ciepło i nurzając się w atmosferze macierzyńskiej czułości. Ale zaraz. .. Z tamtej . strony wiał wiatr i zaciął deszcz. Coś tu się nie zgadzało. Kathrin z niepokojem zaczęła wpatrywać się w Clarę.

Czekała dobre pół godziny, od czasu do czasu robiąc przegląd wszystkich renów. Wciąż brakowało w polu jej widzenia jednego cielęcia. Wreszcie Clara dźwignęła się z ziemi. Poczłapała ociężałym krokiem ku trawiastemu spłachciowi. Nic przy niej i nic za nią nie biegło. Kathrin ujrzała pustkę.

Omiotła wzrokiem większą przestrzeń. Żadnego śladu drugiego cielęcia. Wszędzie tylko trawa, krzewiny, skały, jeziora, kałuże i goła błotnista ziemia.

Prawda objawiła się jej w jednym oślepiającym błysku. Ivor rozproszył stado. Cielę odłączyło się od matki i gdzieś przepadło. W takiej sytuacji miało niewielkie szanse na przeżycie.

Kathrin zaczęła wycofywać się, najpierw tyłem i chyłkiem, by nie przestraszyć stada, a potem już normalnym krokiem. Musiała jak najszybciej powiadomić o wszystkim Juda. Osiągnęła szczyt wzgórza z ziajana i spocona. Uklękła na mokrej trawie i wsunęła głowę do jego namiotu.

– Jud, obudź się!

Poderwał się z takim wyrazem twarzy, jakby przerwała mu jakiś zły sen.

Przez chwilę patrzył na nią nic nie widzącymi oczami.

– Kit... co się stało?

Wydawał się ogromny w ciasnym tunelu namiotu. Rozgrzany snem emanował męskością.  
– Zginęło jedno z cieląt. Myślę, że stało się to wówczas, kiedy Ivor rozgonił stado śmigłowcem. Idę go szukać. Czy pójdziesz ze mną?

Był już zupełnie rozbudzony.

– Więc Ivor posunął się do czegoś takiego... – Zaklął z maestrią, która wzbudziła jej zachwyt. – Oczywiście, że wyruszamy razem. Zdaje się, że wtedy pasły się gdzieś tam... – Wskazał ręką ku północnemu zachodowi.

– Tak, około dwóch godzin marszu stąd.

– Pójdziemy tam i przeczeszymy teren. A tymczasem, gdy będę się ubierał, zrób coś do zjedzenia.

– Zależy mi na czasie. Dotknął jej dłoni.

– Teraz jesteś rozgrzana biegiem, lecz będąc głodna, szybko zmarzniesz. A jeśli nabawisz się grypy, straci też na tym cielę.

Kiwnęła głową. Nie mogła nie przyznać mu racji.

Zapaliła spirytusową maszynkę i rozpoczęła zwykłą krzątanie przy przygotowywaniu posiłku. Lecz wykonywała swoje czynności prawie mechanicznie. Gnębiła ją jedna myśl. Żyła dotąd w kłamstwie. Oszukiwała samą siebie. Nic bowiem pomiędzy nią a Judem nie było jeszcze skończone.

Gorący posiłek rozgrzał ją i odbudował siły. Pełna energii, pomogła Judowi przy zwijaniu namiotów.

Gdy wszystkie sprzączki przy plecakach zostały już zapięte, Jud rozprostował się.

– Chyba zdajesz sobie sprawę – powiedział – że możemy nie odnaleźć tego cielęcia. Lub odnaleźć je martwe.

– Szanse mamy niewielkie. Ale musimy wykorzystać je do maksimum.

Rzadko się do niej uśmiechał, ale teraz właśnie to zrobił.

– Oczywiście, musimy.

Jak w ogóle mogła żyć w przekonaniu, że zerwała wszelkie więzy z mężczyzną, którego uśmiech przenikał ją niczym promień słoneczny płatki kwiatu.

– Wiesz, różnisz się jednak od Ivora. Wybacz, że postawiłam między tobą a nim znak równości.

– Dzięki za te słowa, Kit. Jesteś tyleż wspaniałomyślna, co piękna. – W jego oczach błysnęła ironia. – Mówię teraz przede wszystkim o pięknie duszy, bo twoje fizyczne piękno zakrywa dość szczelnie ta nieprzemakalna kurtka z kapturem.

– Idziemy – powiedziała radosnym, lekkim głosem.

Następne kilka godzin miało na zawsze utrwalić się w jej pamięci. Wędrowali w górę rzeki, co jakiś czas robiąc przystanki, by spenetrować najbliższą okolicę. Kiedy dotarli na miejsce, gdzie po raz ostatni widzieli stado, rozłączyli się. Teraz każde przeczesało wyznaczony sobie obszar na własną rękę. Poszukiwanie utrudniała skomplikowana rzeźba terenu.

Pełno tu było pagórków, skał, przesmyków, kotlinek i większych lub mniejszych kamieni – za każdym z nich mogło przecież ukrywać się przestraszone i wyczerpane cielętko. Trzeba więc było zajrzeć do każdej dziury, obejść każdy skalny kikut, by nie przegapić zguby.

Deszcz przemienił ziemię w bagnisko, a skały lśniły jak tafle lodu. Minęły dwie godziny i Kathrin opanowało śmiertelne zmęczenie. Bolały ją nogi, a zimno wdzierало się pod nieprzemakalną kurtkę i gruby sweter. Strapienie odbierało resztki energii. Przyroda jest okrutna, obfituje w tragedie. Cielęta renów giną, ponieważ są zbyt słabe, bo polują na nie drapieżniki lub odłączyły się od matki i na przykład spadły ze skały. Są to wszystko naturalne przyczyny. Ale to cielę przepadło na skutek interwencji człowieka, a właściwie w rezultacie jego bliskiej barbarzyństwu głupocie. Zapłonęła gniewem.

Skałki wrzynały się półwyspem w rzekę. Trzeba było zachowywać pełną koncentrację, aby nie poślizgnąć się i nie wpaść do wody. W pewnym momencie prawa noga Kathrin uciekła gdzieś w bok, a ona sama straciła równowagę. Po sekundzie znalazła się w lodowatej

wodzie. Upadła jak kot – na ręce i nogi, mocząc nogawki spodni po kolana i rękawy swetra po łokcie. Kiedy wydostała się na skalisty brzeg, zdjęła buty i wylała z nich wodę. Musiała teraz co sił wracać do namiotu, by przebrać się i rozgrzać. Dreszcze, które nie dały na siebie długo czekać, mogły w każdej chwili przemienić się w zgubną gorączkę.

Gdy zobaczyła jaskrawe plamy namiotów i wychodzącego jej na spotkanie Juda, nie miała już nawet siły odmachnąć mu ręką.

– Mnie również nie dopisało szczęście – poinformował ją rzeczowym tonem. – Ani śladu cielątka. – Spojrzał uważniej i ściągnął brwi. – Kit, ależ ty jesteś cała przemoczona!

– Wpadłam do rzeki – odpowiedziała, szcękając zębami. – Ale to drobnostka, nalało mi się tylko do butów.

Jednak Jud potraktował sprawę bardzo poważnie. Wepchnął ją do namiotu, wrzucił do środka dwa swoje swetry i nakazawszy jej się przebrać, zakrzętnął się wokół herbaty.

Gorąca herbata częściowo ją rozgrzała, lecz dreszcze nie ustąpiły. Była przemarznięta do szpiku kości i wydawało się, że tylko tropikalne słońce mogłoby coś na to poradzić.

I wówczas Jud wpadł na pewien pomysł. Przyniósł do jej namiotu swój śpiwór, spiął oba śpiwory błyskawicznym zamkiem, zrzucił ubranie i w samych tylko slipach wsunął się do podwójnego teraz śpiworu. Kathrin powitała jego bliskość kompletnym paraliżem ciała.

Leżała niczym kłoda. Wiedziała, że Jud robi to wszystko w trosce o jej zdrowie, nie zaś powodowany erotycznym impulsem, a jednak jej myśli, niesforne barwne ptaki, poszybowały w tym kierunku.

– Niepotrzebnie odegrałeś dziś w kuchni tę teatralną scenę z całowaniem mojej dłoni.

– Byłem nieprzytomny z zazdrości.

– Z zazdrości o Ivora? – Gdyby nie czuła się tak, jak się czuła, pytanie to bez wątpienia zabrzmiałoby jak wyraz szczerzego rozbawienia.

– Oczywiście. Obraz was obojga w łóżku prześladuje mnie od lat.

Długo powstrzymywane łzy znalazły wreszcie ujście i spłynęły po jej policzkach. Pragnęła powiedzieć Judowi całą prawdę o tamtej nocy sprzed siedmiu lat i wciąż nie mogła jej powiedzieć. Nie miała śmiałości.

– Rozluźnij się, Kit, i przytul do mnie, a ja cię rozgrzeję. Nie obawiaj się, możesz mi zaufać. Przysięgam, że będę tylko kompanem ratującym swoją towarzyszkę przed skutkami pierwszego jesiennego powiewu Arktyki.

Nadszedł moment wyboru. I wybrała. Odwróciła się ku Judowi i przylgnęła do niego całym ciałem. Ogarnął ją ramionami, przytulił policzek do jej policzka. Jego gorący oddech owiewał jej ucho, muskał kark i spływał miłym strumieniem wzdłuż kręgosłupa. Zamknęła oczy. Poczwała się bezpieczna, senna i niemalże rozleniwiona.

Leżała pod palmami w tropikalnym słońcu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kathrin wynurzała się z głębokiego snu jakby etapami. Najpierw usłyszała, że krople deszczu nie bębnią już o naciągnięty materiał namiotu. Potem poprzez wciąż jeszcze zamknięte powieki ujrzała słoneczną jasność dnia. Na koniec poczuła, iż obejmują ją czyjeś ramiona i że ona sama obejmuje czyjeś ciało. Otworzyła oczy.

Tuż przy niej leżał Jud i rytmicznie oddychał przez sen. Dwudniowy zarost wydawał się mieć odcień fioletu.

Nie miała śmiałości ani się poruszyć, ani nawet głębiej odetchnąć. Mężczyzna, którego ciało czuła dłońmi, przez wiele lat był jej przyjacielem, powiernikiem, autorytetem w wielu sprawach. Bratem, którego nigdy nie miała. A kim był teraz? Czego mogła po nim oczekiwać?

Chyba wyczuł przez sen, że jest obserwowany, gdyż otworzył oczy. Pojawiły się dwie błękitne sadzawki. Chwilę patrzył na nią, a potem policzkiem i wierzchem dłoni sprawdził, czy nie ma temperatury.

– W więzieniu, zdarzało się, śniłem o tobie co noc. Widziałem cię biegnącą przez łąkę w białej sukience. Deptałaś bosymi stopami stokrotki i jaskry. Wiatr rozwiewał ci włosy. Byłaś piękna i wolna. I tylko dzięki takim snom pozostałem zdrow na umyśle.

– Och, Jud... – Zabrzmiało to niczym łkanie.

– Nie płacz. Wolę znów pójść do więzienia, niż widzieć cię płaczącą. – Zsunął wstążkę, związującą jej długie włosy w koński ogon, i rozrzucił je na plecy i ramiona Kathrin. – Czy kiedy teraz, po tylu latach, ujrzałaś Wora, zapragnęłaś przespać się z nim?

– Kiedy ujrzałam Ivora, zapragnęłam skryć się w mysiej dziurze.

Spojrzał na nią badawczo.

– Czy to prawda?

Uśmiechnęła się z jakimś rozmarzeniem.

– Pamiętasz, jak nacięliśmy sobie serdeczne palce i mieszając naszą krew, złożyliśmy przysięgę, że nigdy siebie nie okłamiemy? Tak, Jud, powiedziałam ci prawdę.

Ale na jego twarzy, wbrew jej oczekiwaniom, nie pojawiło się odprężenie.

– Czy nadal go kochasz?

– Nie.

– Odkąd pamiętam, zawsze go kochałaś.

– Była to ślepa, naiwna, dziewczęca miłość. Wyleczyłam się z niej równie radykalnie, jak z dziecięcej ospy. Musisz mi uwierzyć.

Chyba jednak nie uwierzył, gdyż wsunął rękę pod swetry, które miała na sobie, i zaczął pieścić jej piersi. Mógł to być sondaż, sprawdzenie, jak zareaguje.

– Czy stosunek z nim sprawił ci przyjemność? Ogarnął ją bezbrzeżny smutek.

– To było siedem lat temu, Jud. Więcej już się z nim nie widziałam, a kiedy ci mówił, że spotyka się ze mną, kłamał.

– Kłamstwo i prawda, zaiste, trudno mi między nimi rozróżnić.

Mimo że nie zgadzała się z nim, rozumiała go.

– Ja w każdym razie powiedziałam ci prawdę.

Ale nie powiedziałam całej prawdy, dodała w myślach. Dłonie, które pieściły jej ciało, stały się nagle delikatne i czułe.

– Oto prawda, która nas łączy – usłyszała chrapliwy głos Juda. – Nasze spragnione ciała.

Miał rację. Zalała ją fala pożądania. Naparła biodrami na jego spęczniała męskość.

Wciąż jednak nurtował ją strach. Zbyt dużo bowiem nagromadziło się mrocznych mgieł i nie zostały one do końca rozproszone. Kathrin bała się, by jej nowy stosunek z Judem nie został oparty na starych kłamstwach.

– Jeszcze za wcześnie, Jud.

– Za dużo mówimy, Kit.

I pocałował ją z taką namiętnością, jak gdyby w jednej minucie pragnął przekreślić i zmazać pustkę i tęsknotę całych siedmiu lat.

A kiedy już leżała pod nim naga, otwarta i wyczekująca, uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Pragnę cię tak bardzo, jak nigdy niczego i nikogo nie pragnąłem. Ale coś mi podszeptuje, że nie jest to odpowiedni moment. Chyba miałaś rację. Jest jeszcze za wcześnie. A poza tym nie dysponujemy niczym, co by cię mogło uchronić przed zajściem w ciążę. Nie chcę, byś później do końca życia przeklinała tę godzinę rozkoszy.

Właściwie zawiódł ją i rozczarował. Była już prawie na szczycie, a Jud stracił ją w dół, w prozę niespełnienia. Sercem była mu jednak za to wdzięczna.

– No i sprawiłeś, że czuję się tak, jakbym po raz drugi wpadła do rzeki.

– Przysłowiowy zimny prysznic?

– Zgadza się.

Wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Kit, nie zapominaj, że mamy misję do spełnienia. Musimy odnaleźć tego czworonożnego pędraka.

Scena obróciła się. Powiało chłodem i lękiem.

– Boże, zupełnie o nim zapomniałam. Jak mogłam? Rozpiął śpiwór i usiadł.

– No cóż, troszeczkę zawróciłem ci w głowie. Ale teraz bierzemy się do dzieła. Na szczęście świeci dziś słońce.

Ubrali się w błyskawicznym tempie i równie szybko przyrządzili i zjedli śniadanie. Po dwóch kwadransach szli już doliną. Przyjemnie było oddychać rześkim powietrzem pogodnego dnia.

Następnie, tak jak wczoraj, rozdzielili się. Jud zagłębił się w wąską i długą boczną odnogę doliny, biegnącą pomiędzy dwoma płaskimi wzgórzami, Kathrin zaś posuwała się nadal równoległe do rzeki. Była w rozterce. Zamiast obserwować stado i gromadzić materiały, szukała cielęcia z miernymi szansami na znalezienie go. Postępowała bardzo nierozsądnie, jednak w zgodzie z własnym sumieniem.

Poczuła pragnienie. Wyjęła z chlebaka bidon z wodą i przyłożyła go do ust. Odchyliła głowę. I wówczas je ujrzała. Kruki. Trzy kruki krążyły na tle nieba nad pobliską skałą. Rzuciła się w tamtym kierunku. Skakała po kamieniach ze zręcznością górskiej kozicy. Jej włosy powiewały na wietrze i mieniły się w słońcu złocistymi błyskami. Ale w jej oczach czaiła się panika. Kruki należały do ptaków żywiących się padliną. Symbolizowały śmierć. O mało co nie wpadła na małego rena. Zatrzymała się w ostatniej chwili. Ale cielę nie zareagowało. Stało za jednym z głazów w niewielkim zagłębieniu z nisko spuszczonego łbem i ciężko, charkotliwie oddychało. Oczy miało zaszkłone, a z nozdrzy ciekły mu strużki śluzu. Przedstawiało sobą obraz tak żałosny, że Kathrin o mało co nie Dwa kruki przysiadły na pobliskiej skale, jeden nadal krążył. One wiedziały. Wiedziały, że cielęcia nie da się już uratować i wrócić go matce.

Podeszła do malca dosłownie na metr. Łzy strumieniami ściekały jej po policzkach, piersi rozrywało łkanie. Ale on nie był świadomy ani jej obecności, ani jej łez. Był już wolny od instynktownego strachu przed człowiekiem, obojętnie, czy ten człowiek niesie zagrożenie i śmierć, czy też miłość i współczucie.

Usiadła na najbliższym kamieniu i zaczęła mu śpiewać. Starą irlandzką piosenkę, którą jej matka kołysała ją do snu. Płynęły słowa, a słodka, melancholijna melodia zdawała się mieć moc uśmierzenia największego bólu. Cielę zamknęło oczy. Już dotykało łbem prawie samej ziemi.

Gdzieś z tyłu rozległy się kroki. Potoczył się jakiś kamyk. Odwróciła głowę i zobaczyła Juda.

– Ujrzałem kruki i domyśliłem się, co je tu ściągnęło.

– Jud, zjawiliśmy się za późno – powiedziała przez ściśnięte gardło.

Spojrzał chmurnym wzrokiem na cielę, a później na błękitne niebo, jak gdyby za ból i

nieszczęście tego małego stworzenia winił cały świat.

– Śpiewałaś piękną piosenkę, Kit. Dlaczego przerwałaś?

– Nie sądzisz, że jestem głupia? Podszedł bliżej i otarł łzy z jej policzków.

– Jesteśmy członkami społeczności, która wierzy, że może naprawić wszystko. Ale są pewne rzeczy, których nie można naprawić. Czuwanie... oto, co nam zostało.

Kathrin podjęła swoją piosenkę. Pół godziny później ciele osunęło się na ziemię.

Kolejne pięć minut i serce cielaczka zatrzymało się na zawsze.

– Umarło – szepnęła Kathrin ze zwieszoną głową, po czym rozbeczała się jak mała dziewczynka.

Pląkała nie tylko z powodu tej niezawinionej śmierci. Opłakiwała swoją matkę, dom, który kochała, i swoje zdradzone siedemnaście lat. Opłakiwała wszystkie nieszczęścia, które spadły na Thorndean. Jedynie Worowi nie poświęciła ani jednej łzy.

– Zrób mu parę zdjęć, Jud – powiedziała, wycierając nos. – Mam zamiar wnieść przeciwko Ivorowi formalną skargę. Wiem, że bardzo trudno będzie mi udowodnić przed sądem jego winę, niemniej muszę spróbować. Po prostu nie mogę puścić tego płazem.

Godzinę później, kończąc obiad składający się z jarzynowej zupy i podpłomyków, Kathrin powiedziała:

– Jud, muszę wracać do stada. Pogoda poprawiła się, więc i ty możesz zabrać się za fotografowanie tych swoich sokołów. Słowem, wypada nam się rozstać.

– Brzmi to dość rozsądnie... Dasz sobie radę sama?

– Mam doświadczenie. Za dwa dni spotkamy się w obozie.

– Myślę, że zostanę przy wodospadach nieco dłużej. Będzie mi Ciebie brakowało.

I wówczas powiedziała coś, co przestraszyło ją i zdumiało:

– Jud, nie mam zamiaru zakochiwać się w tobie. To, że nie kocham już Wora, wcale nie znaczy, bym musiała jednego brata zastępować drugim.

Zachnął się na te słowa.

– Nie mów o uczuciach do mnie, jakiegokolwiek by one były, w powiązaniu z Ivorem. Mój brat nie ma tu nic do rzeczy. Czy to jasne?

Wydawał się boleśnie dotknięty i najzwyczajniej zły. Ale ona nie mogła zatrzymać się w pół kroku, chciała wyjaśnić wszystko do końca.

– Miłość, okazuje się, ma wiele wspólnego ze ślepotą. Kochając jakąś osobę, tworzymy sobie jej wymaginowany wizerunek. Pomyliłam się co do Wora i nie zamierzam po raz drugi popełnić tego samego błędu.

– Kit, jak w ogóle możesz tak mówić? Wyrośliśmy razem, przez całe lata nie odstępowaliśmy sobie ani na krok i wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny. I żeby dopowiedzieć rzecz do końca. Nie kryję, że pragnę uprawiać z tobą seks, co wcale nie znaczy, byś musiała od razu zakochiwać się we mnie.

– Trzeba nam ruszać – powiedziała, wstając z kamienia. – I możesz śmiało uznać swój pomysł z uprawianiem ze mną seksu za czysto utopijny.

Rozstali się prawie że w gniewie. Kathrin wracała do swojego stada w przekonaniu, iż znowu nic konkretnego nie zostało powiedziane. Stanowczo Jud był zbyt pewny siebie. Uzyskanej po tylu latach wolności od Wora nie zamierzała wyrzekać się dla jego przyrodniego brata, chociażby był najpiękniejszym i najwspanialszym z kochanków.

Następne dwa dni upłynęły Kathrin na wyczerpanej pracy. Patrzyła i notowała. Pozornie obserwowanie stada całymi godzinami było zajęciem nudnym i jałowym. Ale tylko pozornie. Monotonne skubanie traw i ziół przez reny oraz ich powolne przemieszczanie się w obranym kierunku skrywało całą skomplikowaną grę wzajemnych stosunków i wzorców współżycia. Tam, gdzie przypadkowa osoba niczego by nie dostrzegła, wtajemniczony i przenikliwy obserwator widział zaloty, opiekuńczość, rywalizację,

podporządkowanie i dyktat autorytetu.

Trzeciego dnia Kathrin wróciła do obozu. Pierwsze, co dostrzegła, to brak helikoptera na płycie lądowiska. Odetchnęła z ulgą. Naprawdę już nie miała ochoty na dalsze spotkania z Ivorem. Dobrze się stało, że odleciał bez pożegnania. W ten sposób pewien rozdział jej życia został nieodwołalnie zamknięty.

W stołówce zastała Pam i Garry'ego. Garry siedział przy stoliku nad jakimiś papierami, a Pam oczywiście coś pichciła.

– Wyglądasz coś blade, Pam. Czy dobrze się czujesz?

– Nabawiłam się grypy. Diabelska sprawa. Niech piekło pochłonie deszcz i to cholerne zimno.

– Gdzie Jud? – zapytał Garry.

– Przypuszczam, że wciąż przy Wodospadach Smutku. Fotografuje sokoły wędrownie. Najwcześniej powinien wrócić jutro.

– Czy udało się wam unormować wasze stosunki? Zaczerwieniła się.

– Są obecnie wzorowe – odparła nie bez ironii.

– Ivor odleciał. To poniekąd upraszcza sprawę. Opowiedziała im o cielęciu. Pam pociągała nosem. Garry słuchał w wielkim skupieniu.

– Gdy tylko dostaniemy od Juda te zdjęcia – powiedział – natychmiast przejdziemy do działania. Myślę, że są jakieś sposoby, by zablokować ten kopalniany interes.

Garry zawsze ujmował sprawy w jak najszerszym wymiarze, pomyślała. Nieprzypadkowo był ich szefem.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważyła.

– Zastępowałam Pam w kuchni, a poza tym wysiadł generator. Czy zrobisz coś dla nas, Kathrin?

– Jasne.

– Chodzi o ugotowanie obiadu. Chciałbym zabrać Pam na Wyspę Wielorybów. Calvin i Karl powinni wrócić przed wieczorem.

– Jak to się stało, że nic o tym nie wiem? – Pam ugodziła Garry'ego łyżką prosto w czubek nosa.

– To miała być niespodzianka.

Nie odkładając łyżki, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Kocham cię, brodaczu.

Garry poruszył się niespokojnie. Należał do tych mężczyzn, którzy nie lubią lub nie potrafią ujawniać publicznie swoich uczuć.

– Musimy się zbierać.

Ale Pam pragnęła dośpiewać melodię, którą zaczęła.

– Powiedz mi, że mnie kochasz, Garry Morrisonie. Na brodatej twarzy mężczyzny nie drgnął ani jeden mięsień.

– Kocham cię, Pam – powiedział, jakby prosił o sól czy pieprz do potrawy.

Pieszczotliwie klepnęła go po policzku.

– Wiem, że tak jest. Po prostu chciałam usłyszeć to od ciebie. – Uściskała go. – Dzięki za niespodziankę.

Kathrin, mimowolny świadek tej sceny, poczuła wzruszenie. W miłości tych dwojga nie było żadnych „ochów” i „achów”. Była to miłość oparta na wzajemnym zrozumieniu i zaufaniu, cicha, lecz solidna jak granit.

Uznała, że zanim przystąpi do gotowania obiadu, musi wpierw umyć się i przebrać. Umyła też włosy, a wysuszywszy je, włożyła niebieskie dżinsy oraz zieloną bawełnianą koszulę.

Spojrzała na siebie w lustrze i spodobała się sobie. Zachciało się jej śpiewać. Zanuciła starą kanadyjską balladę o drwalach i ich spotkaniu ze śnieżnym daniem.

Ze śpiewem na ustach wróciła do kuchni, gdzie od razu zabrała się za pieczenie szarlotki.

Gdy ciasto uzyskało w piekarniku przepisowy rumiany kolor, usiadła na stołku i zajęła się



obieraniem jarzyn i ziemniaków.

Nagle zwrócił jej uwagę jakiś trudny do określenia dźwięk. Było to coś pośredniego pomiędzy bzyczeniem komara a brzęczeniem muchy. Rozejrzała się po kuchni, ale nie zauważyła żadnego owada. Dźwięk tymczasem przybierał na sile. Rzuciła nóż i wybiegła na ganek.

Spojrzała w niebo. Ogromny czerwony owad nadlatywał od południowego wschodu.

Ivor.

Jej dłonie zwilgotniały. Wytarła je o dzinsy.

Śmigłowiec zawisł nad płytą lądowiska.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wróciwszy do kuchni, Kathrin podjęła swoje czynności, lecz wykonywała je teraz z automatyzmem robota. Po chwili warkot śmigieł ucichł. Ivor wylądował.

Rzuciła okiem na nóż do chleba, leżący na blacie szafki. Nie była bezbronna, niemniej modliła się, żeby wrócił Jud. Jud. Calvin. Karl. Inaczej oszaleje ze strachu w tej ciszy, jaka zaległa w obozie.

Mijały minuty. W oknie widziała ciągle ten sam wycinek pustego placu, rozmiękłego po ostatnich deszczach, barak radiostacji, a na horyzoncie ciemny zarys Wyspy Wielorybów o postrzępionych klifach. Co robił Ivor? Dlaczego jeszcze nie zjawił się tutaj?

Nagle w ciszy rozległ się huk. Identyczny dźwięk wydają dwa kanistry, którymi ktoś przez nieostrość uderzył o siebie. Odetchnęła z ulgą. A więc Ivor zawrócił, aby zatankować paliwo. Skończy tankowanie, wsiądzie do swojej maszyny i odleci. Wyteńczyła słuch, oczekując warkotu śmigieł.

Doczekała się odgłosu kroków. Zbliżały się do stołówki. Skrzypnęły drzwi. Dumnie wyprostowała się. Nie mógł zobaczyć, nie mógł nawet domyślić się, że wewnątrz drżała ze strachu.

– Jak się masz, Ivor – powitała go z całkowitym spokojem.

Obiegł wzrokiem wnętrze. Miał na sobie ciemne spodnie i czarną skórzaną kurtkę.

– Gdzie Pam?

– Leży w łóżku. Nie czuje się dobrze. Zdaje się, grypa.

– Przyszedłem umyć ręce.

– Nalej sobie ciepłej wody z tego garnka. – Zdjęła pokrywkę.

Kiedy już umył ręce, bez słowa podała mu ręcznik.

– Chciałbym zapłacić za paliwo. Gdzie Garry?

– Gdzieś tutaj powinien się kręcić. Połóż czek na stole, a ja mu go przekażę.

– Mam jeszcze z nim coś do obgadania. Zaraz wracam. Wyszedł, ona zaś wiedziała, że nie znajdzie ani Pam, ani też Garry'ego. I w ogóle żadnej żywej duszy. Musi dojść zatem do wniosku, że kłamała ze strachu przed nim.

Wrócił po kilku minutach. Nie czekała na jego słowa. Pierwsza zaczęła rozmowę.

– Gotuję dla sześciu osób. Mogłabym i dla siedmiu, gdybyś powiedział mi, że zostajesz na obiedzie. Więc jak?

– Nie ma nikogo w obozie. Od początku wiedziałem, że kłamiesz co do Pam i Garry'ego, bo lecąc, zauważyłem ich na Wyspie Wielorybów, ale chciałem przekonać się co do pozostałych.

A zatem bawił się z nią w ciuciubabkę. Zapłonęła niepohamowanym gniewem.

– Calvin, Karl i Jud wrócą lada chwila. Chyba nie sądzisz, że tyle ziemniaków obrałam dla siebie?

Rozpiął suwak skórzanego kurtki, oparł się łokciem o ścianę. Milczał. Jej zaś nagle ta jego czarna kurtka skojarzyła się z krukami, rozszarpującymi w tej chwili martwe ciało. Przeszła do ataku.

– Ivor, to ty ukradłeś pieniądze ojcu, prawda? Wziął kubek i nalał sobie kawy.

– Zawsze chorowałaś na przerost wyobraźni – powiedział z ironią.

– Zostawmy moją osobę. Lepiej powiedz mi, dlaczego Jud przyznał się do czynu nie popełnionego.

Szczerze chciała wiedzieć. Lecz także zyskać na czasie. Im dłużej utrzyma go w korbach rozmowy, tym większe będzie miała szanse, że ktoś nadejdzie.

– Fikcyjny scenariusz... W porządku. Ale przygotuj się na długą historię. – Przysiadł na blacie szafki: miejsce wybrane na pozór przypadkowo, ale w istocie, siadając tak, zagradzał jej drogę ku drzwiom. – Moja matka umarła, gdy miałem pięć lat. Ojciec kochał ją i jej śmierć bardzo nim wstrząsnęła. Ale w rok później poznał kobietę, którą uczynił swoją

drugą żoną – Elenę. Uciekła od niego jeszcze przed twoim urodzeniem, więc nie możesz jej pamiętać.

Kathrin zapaliła gaz pod garnkiem z zupą. – Nie pamiętam, żeby Jud kiedykolwiek wspominał swą matkę.

– Była tancerką z San Francisco, piękną i żywiołową niczym płomień. Oczarowała mego ojca. Ożenił się z nią w trzy tygodnie po pierwszym spotkaniu.

– Nienawidziłeś jej – wyszeptła.

– Ma się rozumieć – odparł bez szczególnej emocji. – Odebrała mi ojca. Oszałała na jej punkcie, obsypywał ją prezentami, woził po całym świecie. Moja matka nawet w cząstce nie zaznała tyłu przyjemności, co ta kobieta.

– I nigdy mu tego nie wybaczyłeś.

Wzruszył ramionami, pozostawiając jej słowa bez komentarza.

– Wszystko zmieniło się wraz z zejściem Eleny w ciążę. Nie chciała mieć dzieci, była na to zbyt próżna, a także zbyt egoistyczna. Zaczęła zreć się z ojcem, dochodziło nawet do kłótni w miejscach publicznych. Ja się cieszyłem, gdyż miałem nadzieję, że pójdzie sobie, a z nią jej dziecko, które nosiła w brzuchu. – Parsknął krótkim niedobrym śmiechem. – Zniknęła z horyzontu, ale Jud pozostał.

– I znienawidziłeś go.

– Ma jej oczy – powiedział Ivor takim tonem, jakby ten fakt wyjaśniał i tłumaczył wszystko.

– A twój ojciec?

– Błagał ją, żeby wróciła. Płakał, czołgał się niemal u jej nóg. Budził sobą niesmak. Ona zaś znalazła sobie innego faceta z forszą i ani jej w głowie było wracać do dwójki małych dzieci.

W końcu ojciec zgodził się na rozwód.

– Zawsze miałam wrażenie, że twój ojciec faworyzuje ciebie kosztem Juda. Teraz nie dziwię się temu. Widział w swoim młodszym synu kobietę, która nim wzgardziła.

– Problem w tym, że nikt nie wyjaśnił tego Judowi, żyjącemu wciąż nadzieją, iż ojciec pewnego dnia pokocha go. Zebrał więc o okruszyny czułości i stawał na głowie, by podbić ojcowskie serce. Tą drogą wszedł do rodzinnego interesu, on, który miał w sobie tyle z biznesmena, co ja z zakonnika.

Kathrin patrzyła w przestrzeń szeroko otwartymi oczami. Zaczynała wreszcie rozumieć.

Czuła się jak ktoś zrzucony ciemną nocą na spadochronie w nieznaną okolicę, kto doczekał ranka i wschodu słońca.

– A potem wynikła ta sprawa z kradzieżą pieniędzy. Było tajemnicą poliszynelem, że ojciec i Jud nie pozostają ze sobą w najlepszych stosunkach, więc prokurator nie miał trudności ze znalezieniem motywów. Ale w sądzie Jud oskarżył mnie, że to ja doniosłem o wszystkim policji. Wynikało stąd, że wiedziałem podejrzenie dużo o kulisach kradzieży. I co się dzieje? Ojciec dostaje zawału serca, przyznaję, bardzo w porę, Jud zaś przyznaje się do winy.

– Tobie, oczywiście, takie rozwiązanie bardzo odpowiadało.

– Niech ci tylko nie umkną wszystkie subtelności tej sprawy. Jud przyznał się, bo zrozumiał, że ojciec znienawidzi go już kompletnie i to do końca życia, jeśli to ja znajdę się w więzieniu. Niestety, historia ta nie kończy się wzruszającą sceną pojednania ojca z synem. Ojciec, o ile wiem, nigdy nie odwiedził Juda w więzieniu. Tak więc historia ta nie ma happy endu.

– Nie zakończyłeś jej jeszcze, Ivor. Na policji odnotowano, że donos wpłynął o siódmej trzydzieści wieczorem. Byłam wówczas z tobą i wiem, że o tej porze nie mogłeś zadzwonić.

Wyjaśnij mi tę sprawę.

– Czy sądzisz, że tak trudno jest przesunąć wskazówki zegara?

Zbladła, poczuła słabość rozlewającą się po jej ciele i musiała wesprzeć się na szafce.

Wróciła pamięcią do tego fatalnego wieczoru. Wchodzi do pokoju Ivora, mimochodem spogląda na stojący przy jego łóżku budzik i jest cokolwiek zaskoczona. Zegar wskazuje siódmą piętnaście, ona zaś szła tutaj w przeświadczeniu, że jest dużo później.

Ivor uśmiechnął się.

– Kochaliśmy się tamtej nocy. Nic dziwnego więc, że straciłaś poczucie czasu.

– Zgwałciłeś mnie, Ivor, tak to raczej należy nazwać.

– Przyszłaś do mnie z własnej woli i byłaś dostatecznie dorosła, by orientować się w konsekwencjach tego kroku.

– Miałam siedemnaście lat, byłam zakochana w tobie po uszy i jeszcze wciąż bardzo naiwna.

– Dodam też, że dość nieporadna w łóżku. Czy to się do dzisiaj nie zmieniło?

Z pewnością nie uwierzyłby jej, gdyby mu teraz wyznała, że był pierwszym i jak dotąd jedynym mężczyzną w jej życiu.

– Ivor, zatankowałeś swój śmigłowiec i opowiedziałeś mi bardzo ciekawą historię. Teraz z pewnością masz wiele spraw do załatwienia. Pożegnaj się więc ze mną i daj mi dokończyć moją robotę.

– Najlepsze są pożegnania, którym towarzyszy pocałunek. – Odstawił kubek z kawą i przysunął się do niej.

Poczuła, że strach paraliżuje jej nogi.

– Nie dotykaj mnie!

– Tylko jeden niewinny pocałunek. – Miał w oczach coś takiego, czego nie można było kojarzyć z jakąkolwiek niewinnością.

W panice chwyciła nóż. Wytrącił go z jej ręki z dziecinną łatwością.

Otworzyła usta, by krzyknąć, lecz wydobyła z siebie tylko rozpaczliwe westchnienie.

Przyparł ją do kredensu.

– Nie ma się czego obawiać, Kathrin. Lubię wygody i zabiegam o nie. Ani myślę kochać się z tobą w tej śmierdzącej kuchni na brudnej podłodze. Pozostawiam to mojemu bratu.

– Nie jestem kochanką Juda! Zrozum to wreszcie.

– Widziałem, jak patrzył na ciebie tamtego ranka, gdy oparzyłaś sobie rękę. – Ujął ją pod brodę. – Co on takiego ma w sobie, czego ja nie mam? Jest nikim. Ekskwizytem przebrany za fotografa.

– Posiada duszę, charakter, osobowość. Coś, czym niewielu z dzisiejszych mężczyzn może się pochwalić.

– Widzę, że nasłuchiwałaś się psychoanalityków.

– Niczego nie rozumiesz. Zżera cię nienawiść do Juda. Trudno to w ogóle pojąć. Ojciec kocha cię, jesteś bajecznie bogatym człowiekiem. W czym Jud może ci zagrozić? Przecież należycie do dwóch całkiem odrębnych światów.

– Jud ma ciebie.

Naparł na nią całym ciałem. Poczuła na plecach gałki drzwiczek kredensu. Nie mogła oddychać. Upokorzenie wyparło z niej strach. Odwróciła głowę. To było tak wstrętne, że zawstydziliby się nawet ptaka, który usiadłby teraz na parapecie okna i przyglądałby się im.

Odezwało się w niej jakieś drugie „ja”. I to ono mówiło, iż nie chce być cieleciem, bezbronnym w rękach fatum, i że zamierza walczyć. Wtedy, przed siedmiu laty, była zbyt młoda, zbyt zawstydzona i zbyt niepewna siebie, by stawić zdecydowany opór.

Należało odwołać się do sprytu, siłą niewiele mogła tu zdziałać.

Udała, że słabnie i osuwa się na ziemię. Zwisła w ramionach Ivora i w ten sposób musiał przejąć na siebie cały jej ciężar. Zachwiał się i zwolnił uścisk ramion. Prześlizgnęła się pod jego łokciem. Błyskawicznie odwrócił się i trzasnął ją wierzchem dłoni w twarz, wyglądało, że przypadkowo, na skutek szybkiego obrotu. Ale uchwycić jej nie zdążył. Zrzuciła mu pod nogi całą stertę puszek, które stały na szafce przy zlewie. Chciał je przeskoczyć, poślizgnął się i omal nie zrobił szpagatu.

Spojrzał na nią z taką wściekłością w oczach, jak tylko wściekły może być upokorzony przez kobietę mężczyznę.

Powrócił strach. Teraz wiedziała już, że albo zwycięży w tej walce, albo poniesie klęskę, z której się już nie podźwignie.

Chwyliła torbę z mąką i cisnęła nią w Wora. Trafiła prosto w jego pierś. Ivor w jednej sekundzie z czarnego – czarna koszula, czarna kurtka, czarne spodnie – stał się białoczarny. Mączny tuman oślepił go, a jej umożliwił ucieczkę.

Dopadła drzwi i wybiegła na zewnątrz. Nie było najmniejszego sensu barykadować się w swojej chatce. Tundra wydawała się najlepszym schronieniem.

Obrała więc kierunek na swój szlak. Biegła co sił w nogach i płucach. Przed sobą, po prawej, miała barak radiostacji. Dosłownie rósł w oczach. Dzielilo ją od niego dwadzieścia, dziesięć, pięć metrów. Za chwilę skręci w prawo i wbiegnie na kamienistą ścieżkę, pnącą się pod górę.

Zza baraku wyszedł mężczyzna. Wpadła wprost w jego ramiona. Krzyknęła.

– Kit! Na miłość Boską, to ja, Jud!

Uniosła głowę i zobaczyła dwa okolone ciemną oprawą rzęs prześwity błękitu. Ulga, jaką poczuła, do reszty wyzuła ją z sił. Zwisła w jego ramionach niczym szmaciana lalka.

Dotknął opuszkami palców jej policzka.

– Kto cię uderzył? – zapytał głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszała.

– Ivor – wymamrotała – ale udało mi się...

– Zabiję tego łajdaka!

I zanim zdążyła zareagować, powiedzieć jakieś słowo, oparł ją o ścianę baraku radiostacji, zrzucił plecak i puścił się długimi susami w kierunku stołówki.

Świadomość, że za chwilę może wydarzyć się nieszczęście, wróciła jej energię. Z początku szła tylko, lecz niecierpliwość i strach popchnęły ją do biegu. Wpadła do kuchni i stanęła jak wryta.

Jud i Ivor tarzali się po podłodze, złączeni w morderczym uścisku. Słysząc było sapanie, przekleństwa Ivora i głucho uderzenia pięścią. W powietrzu unosił się mączny pył.

Wszędzie walały się puszki, obierki i jakieś papiery. Skąd tu tyle papierów? – zadała sobie absurdałne pytanie.

W tym momencie Ivor, mimo że na oko słabszy, zdołał jakimś cudem uzyskać przewagę i zdzieliwszy Juda pięścią, poderwał się na nogi. W przeciągu ułamka sekundy powstał i Jud. Nastąpiła szybka wymiana ciosów. Z nosa Ivora polala się krew, Jud miał rozciętą wargę. To była walka na śmierć i życie.

Kathrin uświadomiła sobie, że za wszelką cenę musi ich powstrzymać, tym bardziej że na trzy ciosy Juda, silniejszego i sprawniejszego fizycznie, Ivor odpowiadał już tylko jednym. Zaczynało się katowanie.

Nie mogła tego znieść. Nie mogła dopuścić, by Jud został wtrącony do więzienia za bratobójstwo!

Chwyliła za stojący nie opodal kubek i chlusnęła wodą prosto w twarz tego, który był jej droższy.

Jud znieruchomiał z podniesioną pięścią, zaskoczony i oślepiiony. Skorzystał z tego Ivor i rzuciwszy jej chrapliwe „dzięki”, skoczył ku drzwiom.

Jud potrząsnął głową, otarł twarz rękawem kurtki i skulił się do skoku w pogoni za bratem.

– Zejdź mi z drogi! – ryknął, widząc ją pomiędzy sobą a drzwiami.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nie, Jud, nie wolno ci...

– Kit, on ucieknie! Czy nie rozumiesz? Drań ucieknie i znów ujdzie mu wszystko na sucho.

– Niech ucieka. Kara za jego winy i tak go nie ominie, tyle że nie ty będziesz ją wymierzał. – Doleciał ich warkot śmigłowca. – Bogu dzięki!

Lecz Juda wciąż roznosiła wściekłość. Przypominał drapieżnika, któremu wymknęła się ofiara.

– Więc znowu mu pomogłaś, Kit. Gratuluję. Opanował ją gniew.

– Pomogłam tobie, głupcze. Uchroniłam cię przed więzieniem.  
– I pewnie jestem głupcem, skoro nie rozumiem, dlaczego zimny prysznic uchronił mnie przed więzieniem.  
– Powstrzymałam cię przed zabiciem Ivora. Zamrugał oczami.  
– Nie zamierzałam go zabić.  
– Groziłeś, że go zabijesz. Słyszałam to na własne uszy.  
– Chciałem tylko porachować mu kości, żeby na drugi raz pomyślał dwa razy, zanim zdecyduje się podnieść na ciebie rękę. Mówisz serio, Kit? Naprawdę chwyciłaś za ten kubek, bo pomyślałaś, że chcę go zabić?  
– Jud, ty po prostu zbyt kochasz wolność, by spędzić resztę życia w więzieniu. Rozchylił usta w nieśmiałym uśmiechu. Przejechał językiem po przeciętej wardze.  
– A ja, idiota, pomyślałem sobie, że mimo wszystko, mimo iż tak brutalnie zachował się wobec ciebie, to jego chciałaś ochronić.  
Warkot śmigieł zdążył się już zamienić w dalekie buczenie.  
– Skoro mowa o brutalności, to waliłeś go jak zawodowy bokser. – Roześmieli się. – Zjawiłeś się w samą porę. To prawdziwy cud.  
– Zdziwisz się, jeśli ci powiem, iż kiedy zobaczyłem na niebie helikopter Ivora, wrzuciłem drugi bieg i prawie zacząłem biec. Nie wiem, dlaczego. Po prostu coś mi szeptało do ucha, że muszę jak najszybciej zjawić się w obozie. Gdzie Pam i Garry?  
– Na Wyspie Wielorybów.  
– A więc ten tajemniczy głos był jednak głosem dobrego ducha... – Znow dotknął opuszkami palców zaczerwienionego miejsca na jej policzku. – Drań, uderzył cię w twarz.  
– Już nie boli. W gruncie rzeczy nie był to silny cios.  
– Zgwałciłby cię, gdybym się nie pojawił.  
Niebo tchnęło ciszą. Śmigłowiec musiał już dawno zniknąć za horyzontem.  
– Nie wiem. Mam wrażenie, że Ivor bardziej kocha dominację niż seks. – Wstrząsnęła się.  
– Myślę, iż chciał mnie tylko nastraszyć i zmusić do psychicznej, nie zaś fizycznej uległości. Oczy Juda, jeszcze przed chwilą łagodne, stały się teraz prokuratorowsko badawcze.  
– Ile razy kochałaś się z nim w łóżku, Kit? Zbladła i odsunęła się o krok.  
– Nic ci do tego. Posprzątajmy lepiej ten bałagan.  
– Zgwałcił cię, prawda? Nie zaprzeczaj, wiem, że tak było.  
Spuściła oczy. Na jej policzki wystąpiły rumieńce.  
– Tak. Spałam z nim tylko raz. Poglądził ją czule po włosach.  
– Nie ma się czego wstydzić, Kit. Miałaś tylko siedemnaście lat.  
Nie miała śmiałości spojrzeć mu w oczy. Patrzyła w bok, ponad jego ramieniem. I wówczas to zobaczyła smużkę dymu wydobywającą się z piekarnika.  
– Rany! Moje mięso! Zupełnie o nim zapomniałam.  
Zawartość brytfanki, piękny kawał schabu spalony został na węgiel. Kathrin patrzyła na spalone mięso i czuła, że dotarła do granic nerwowej wytrzymałości. Brutalność Ivora, historia przez niego opowiedziana, bójka braci, wszystko to nagle stało się mniej ważne od tej dotkliwej klęski, jaką poniosła jako kucharka. Bezgłośny szloch wstrząsnął jej ramionami.  
Poczuła na plecach dłoń Juda.  
– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła.  
Szybko cofnął rękę, jak gdyby zagroziła mu rewolwerem.  
– Nie jestem twoim wrogiem, Kit. Nie chcę zrobić ci krzywdy.  
– Właściwie nie wiem, kim jesteś!  
– Czy innych mężczyzn, z którymi się kochałaś, też tak traktowałaś?  
– Jakich innych mężczyzn? O czym ty w ogóle mówisz?  
– Wiem już, że przez te siedem lat nie widywałaś się z Worem. Siedem lat to szmat czasu. Musiałaś mieć kogoś innego...

– Sądzisz, że po tym, co zaszło między mną a Ivorem, tęskniłam za facetami?

Jud zrobił głupią minę.

– Żadnego?!

– Jud, nie podoba mi się ta rozmowa! Niebawem wrócą Karl i Calvin, a ja zmarnowałam pieczone i chyba będę musiała nakarmić ich konserwami. Poza tym kuchnia, powtarzam, przypomina burdel, ty zaś wyglądasz jak płatny morderca z gangsterskiego filmu.

Powiódł wzrokiem po podłodze.

– Burdel, to skromnie powiedziane. To wygląda jak po trzęsieniu ziemi.

– I po trzęsieniu ziemi trzeba sprzątnąć. Natychmiast słowa wprowadziła w czyn. Zaczęła od zbierania puszek.

– Tobie radziłabym zająć się mąką i tą kałużą Wody – powiedziała, ustawiając puszki na dawnym miejscu.

– Pamiętasz... Miałś wtedy osiem czy dziewięć lat i wpadliśmy na pomysł, by wytapetować pokój, używając zamiast kleju mąki rozpuszczonej w wodzie. Twoja matka miała wielką ochotę obedrzeć nas ze skóry.

Pamiętała, ale nie chciała pamiętać. Im więcej obrazów z tamtych lat podsuwała jej pamięć, tym mocniej zaciskały się więzy łączące ją z tym mężczyzną, którego obecność działała na nią równie ożywczo, jak na roślinę działa woda i słońce.

– Ty i Ivor skutecznie wyleczyliście mnie z sentymentu dla przeszłości.

– My dwoje, Kit, wciąż w niej tkwimy. Ale dość o tym. Powspominamy sobie kiedy indziej.

Zanim jednak przystąpimy do gruntownego sprzątnięcia, chciałbym przyłożyć ci łód do policzka. Trochę napuchł.

– Lepiej nie dotykaj mnie!

Agresywny ton, jakim wypowiedziała te słowa, zaskoczył go. Wypowiadała mu wojnę w momencie, gdy wszystko skłaniało ich do zawarcia pokoju.

– Nie rób ze mnie wroga, Kit. Ta rola stanowczo mi nie odpowiada.

– Miotłę i ścierkę do podłogi znajdziesz na ganku. Zerknęła nań kątem oka. Westchnął, machnął ręką i skierował się ku drzwiom.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia Kathrin obudziła się w bardzo kiepskim nastroju. Po bójce braci była cały czas w szoku i ten stan nie pozwalał jej na jasność myśli. Dopiero wieczorem dotarło do niej to, co usłyszała z ust Ivora. I od tego momentu dręczyły ją wyrzuty sumienia. Było teraz dla niej jasne, że przed siedmiu laty w znacznym stopniu przyczyniła się do skazania i uwięzienia Juda.

Przysięgała w sądzie w dobrej wierze, że mówi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. W istocie jednak kłamała. Ivor przesunął wskazówki, stworzył fikcyjny obraz czasu i ona dała się temu zwieść.

Nie tylko na tym jednak polegała jej wina. Uczyniła rzecz stokroć gorszą. Uwierzyła, że Jud zdolny był ukraść pieniądze ojcu. Ona, która znała go lepiej niż ktokolwiek inny, wystąpiła jako świadek oskarżenia.

I dzisiaj, świadoma tego wszystkiego aż do bólu, jak będzie mogła spojrzeć Judowi w twarz?

Gdy jednak wreszcie zdobyła się na odwagę i poszła do stołówki, dowiedziała się od Garry'ego, że Jud wczesnym rankiem popłynął na Wyspę Wielorybów fotografować białozory. I że zajmie mu to przynajmniej kilka dni.

A więc przez jakiś czas nie będzie go widziała. W równym stopniu cieszyło to ją, jak i zasmucało. Była wolna od Juda i mogła spokojnie przemyśleć wiele spraw. Ale zarazem Jud stał się w ostatnich dniach kimś bliskim i niezbędnym. Wtopił się w krajobraz tundry i z intruza, którym był na początku, przemienił się w mieszkańca. Przede wszystkim zamieszkał w jej sercu.

Ponieważ najlepszym lekarstwem na różne troski i rozterki jest praca, postanowiła wrócić do swoich renów. Przesunęły się o godzinę drogi w kierunku obozu. Wyglądały pięknie na tle cichego surowego krajobrazu. Żegnając się z nimi czwartego dnia, Kathrin stwierdziła, że wyleczyły i ukoiliły jej duszę.

Kiedy stanęła na grzbiecie ostatniego niewielkiego wzniesienia, skąd do obozu miała już tylko niecały kwadrans marszu, rzuciła okiem na morze i ponurą jak zawsze Wyspę Wielorybów. Coś tam się poruszało, pomiędzy wyspą a brzegiem. Mogła to być wyłącznie łódź motorowa.

Jud wracał i ona, chociaż zmęczona i bardzo onieśmielona, miała okazję wyjść mu na spotkanie.

Skręciła w lewo i omijając kępy purpurowych skalnic, skierowała się ku przystani.

Dochodziła, gdy on właśnie przybijał. Wyskoczył z motorówki i chwycił ją w ramiona.

Pocałował. I wówczas zamiast przeprosić go, powiedzieć mu całą prawdę i zadać kilka nurtujących ją pytań, wróciła do dawnego schematu, przy czym dokonało się to jakby poza jej wolą i wyborem.

– Powiedziałeś, że nie będziesz mnie dotykał.

– Skądże znowu. To ty mnie prosiłaś, bym trzymał się od ciebie z daleka, co bynajmniej na jedno nie wychodzi. Zresztą lubię cię dotykać i mam zamiar robić to coraz częściej. – Jego oczy błyszczały chłopięcą radością.

– Słowem, nie masz zamiaru liczyć się z moimi pragnieniami.

– Twoje pragnienia są identyczne z moimi. Ty również chcesz mnie dotykać i kochać się ze mną.

Odrzuciła do tyłu głowę.

– A nawet gdybym tego chciała? Niczego to jeszcze nie przesądza. Bo i reny chcą się kochać, i nury, i foki, i polarne niedźwiedzie. Sęk w tym, że człowiek może powiedzieć „nie” własnym pragnieniom. I ja właśnie mówię to słowo.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Tak się jednak składa, że nie wierzę ci, Kit. Jesteś dziś wyjątkowo nieprzekonująca.



Miał rację. Zmiany, jakie się w niej dokonały, widoczne były już na pierwszy rzut oka. Nie potrafiła tego ukryć.

Oboje byli zmęczeni i kiedy weszli na teren obozu, zgodnie stwierdzili, że uwzględniając późną porę, przede wszystkim muszą się przespać.

Obudziła się o trzeciej w nocy. Oczywiście, była to noc tylko w sensie formalnym, gdyż nad linią horyzontu świeciło słońce. Słońce w środku nocy. Jasność, która przewyciężyła ciemność. I Kathrin zapragnęła nagle całym sercem, żeby jasność prawdy rozproszyła mroki i cienie, jakie jeszcze zalegały pomiędzy nią a Judem. Powie mu dzisiaj, że bardzo żałuje, iż uwierzyła w jego winę, i poprosi go o wybaczenie.

Wstała, ubrała się i wyszła na dwór.

Wszyscy spali i wokół panowała niezmacona cisza. Morska toń mieniła się złocistymi cekinami słonecznych refleksów. Na nieboskłonie od północnej strony majaczyły blade gwiazdy. Znad jezior i mokradeł doleciał pojedynczy okrzyk nura.

Kathrin doszła do krańca obozu, zatrzymała się i spojrzała wprost w kosmiczną pomarańczę. To nocne słońce pozbawione było ciepła, a przecież mimo wszystko promieniowało jakimś nieuchwytnym ciepłem. Można było w nim ogrzać udreżoną duszę. Nagle coś ją zaniepokoiło. Poczuli się obserwowana. Odwróciła się i stanęła oko w oko z polarnym niedźwiedziem.

Wstrzymała oddech.

Jest młody, pomyślała, starając się ocenić swoją sytuację. Ma około dwóch lat i pewnie niedawno został porzucony przez matkę.

Tymczasem niedźwiedź spoglądał na nią swymi paciorkowatymi oczkami i wahał powietrze. Jego kudłata sierść miała żółtawy odcień, małe zaś i okrągłe uszy kojarzyły się z uszami pluszowego misia.

Gdy zjechali tutaj całą ekipą na początku lata, Garry udzielił im kilku cennych rad na temat postępowania z białymi niedźwiedziami. Powiedział, iż dużo szkód uczyniły one ekspedycjom polarnym, obrabowując ich składy żywnościowe. Nalegał więc, by żywność trzymać w jednym, i to dobrze chronionym miejscu. Na wypadek zaś pojawienia się niedźwiedzia w obozie, zalecał nie czekać, tylko wdrapać się jak najszybciej na dach najbliższego baraku.

Spojrzała w lewo. Od baraku kuchni, przy którym stała drabina, dzieliło ją około dwudziestu metrów. Przeniosła spojrzenie na misia. Obserwował ją z wielkim zainteresowaniem. Prawdopodobnie była pierwszą dwunożną istotą, jaką widział w swym życiu.

Nie odrywając odeń oczu, zaczęła przesuwać się metr po metr. Końcówka była najbardziej denerwująca, gdyż niedźwiedź zaczął kiwać łbem. Odwróciła się, chwyciła się drabiny i wspięła na górę po szczeblach z tym okropnym poczuciem, że straszliwe kły i pazury są już tużtuż i za sekundę zanurzą się w jej łydce.

Będąc na dachu, spojrzała w dół. Niedźwiedź faktycznie dokłusował już do drabiny, a obwąchawszy ją, jednym uderzeniem łapy zważył na ziemię. Huk przestraszył go, więc najpierw zabawnie odskoczył, a potem, odchodząc już, kilkakrotnie obejrzał się w obawie przed wrogiem.

Kathrin została sama. Siedziała na dachu baraku i nie mogła zeskoczyć, gdyż było tu zbyt wysoko. Ale mogła wołać o pomoc. I właśnie miała to zrobić, gdy z najbliższego domku wyszedł Jud.

Od razu ją zauważył. I wyglądał na kogoś, komu w życiu nie wydarzył się zabawniejszy początek dnia.

– Tylko o nic nie pytaj – ostrzegła go.

– Przypominasz Buddę kontemplującego niebiański absolut.

– Kontempluję coś zupełnie przeciwnego. Ziemię, na której chcę stanąć.

– Czy ta leżąca drabina ma oznaczać, że przez jakiś czas nie życzyłaś sobie towarzystwa na

tych wysokościach?

– Oznacza ona, tępaku, że nie życzyłam sobie towarzystwa białego niedźwiedzia.

– Niedźwiedzia? – Natychmiast przeszedł na poważny ton. Rozejrzał się. – Gdzie on jest teraz?

– Wycofał się w kierunku wybrzeża. Znikł za tamtymi skałkami. Dwuletni samiec. Był równie zaskoczony moim widokiem, jak ja jego.

– A więc to on zwałił drabinę i narobił hałasu, który mnie obudził. – Uśmiechnął się. – Jesteś teraz, Kit, na mojej łasce i niełasce.

Uwielbiała jego uśmiech. Przypominał w takich chwilach dawnego Juda.

– Jud, jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Więc zdecyduj. Chcesz zejść na ziemię, czy siedząc na tym dachu, opowiedzieć mi jedną z tych smutnych arktycznych legend?

– To będzie smutne, Jud. – Zawiesiła wzrok na posepnych klifach Wyspy Wielorybów. – Nareszcie poznałam prawdę... Ivor mi powiedział, jak to naprawdę było. Gdy zapukałam tamtego wieczoru do jego pokoju, bo miał – odwieźć mnie na szkolny bal, krzyknął przez drzwi, bym chwilę poczekała. Dopiero po jakimś czasie wpuścił mnie do środka. Teraz wiem, dlaczego. Sam mi to powiedział, wiesz, tamtego dnia, zanim zaatakował mnie w kuchni. Otóż, gdy ja czekałam na korytarzu, on cofał wskazówki zegara. W rezultacie zeznałam w sądzie, że byłam z nim o siódmej trzydzieści. Skłamałam. Powiedziałam wyłącznie subiektywną prawdę.

– A więc tak to zrobił... – powiedział Jud zadumany. – Jaka ulga, gdy od lat dręczące człowieka pytanie otrzymuje nagle odpowiedź.

– W decydującym stopniu przyczyniłam się do zasądzenia cię na karę więzienia.

– Wiedziałem, że to Ivor zadzwonił na policję, nie wiedziałem tylko, dlaczego ty zdecydowałaś się na złożenie fałszywych zeznań.

– Przebac mi, Jud – powiedziała z bardzo nieszczęśliwą miną. – Ale przede wszystkim przebac, że tak długo wierzyłam, iż to ty ukradłeś pieniądze.

– Musiałaś uwierzyć. Przecież przyznałem się do winy.

– Inni mogli ci uwierzyć, ale nie ja... Rosłam wraz z tobą i znałam cię lepiej od nich.

– Kit, popełniłem ten sam błąd, co ty. Uwierzyłem, że jesteś w zмовie z Iworem, bo kochasz go i nie chcesz jego krzywdy. Moja wina równoważy twoją.

– Nie byłam z nim w zмовie, Jud, on mnie oszukał, ale to i tak nie zmienia istoty rzeczy. Tak mi przykro z tego powodu. Nawet nie wiem, czy mam moralne prawo prosić cię o wybaczenie. – Gorące łzy spływały jej po policzkach.

W odpowiedzi Jud przystawił do ściany drabinę.

– Albo schodzisz, albo ja wchodzę do ciebie.

Jedno z nich na dachu to już było dziwowisko, a dwoje tworzyłoby istny cyrk. Nie miała wyboru. Zeszła wprost w ramiona Juda.

Wyciągnął chusteczkę i otarł łzy z jej policzków.

– A teraz słuchaj mnie uważnie, bo już nie wrócę do tego tematu. Oboje popełniliśmy straszne błędy. Ty, ponieważ zakochałaś się w mężczyźnie, który nie jest godny nawet jeść z tobą przy jednym stoliku, a ja, ponieważ wbilem sobie do głowy, iż zdołam zdobyć miłość mego ojca. Gdy podejrzenie padło na Iwora, ojciec dostał zawału. I co zrobiłem?

Przyznałem się do nie popełnionego przestępczego czynu. Pragnąłem, aby ojciec, ujęty moją szlachetnością, pokochał mnie, zobaczył we mnie dobrego syna. Na nic to się zdało. Ojciec wciąż ma dla mnie tylko grzecznościowy uśmiech. W najlepszym wypadku.

– Czy w takim razie wybaczysz mi, Jud? Nie wyobrażam sobie dalszego życia bez twego przebaczenia.

– Och, Kit, za kogo ty właściwie mnie masz? Za jakiegoś zapiętego okrutnika?

Kathrin uśmiechnęła się blado.

– Strasznie się bałam powiedzieć ci o tym zegarze. Myślałam, że znienawidzisz mnie już na

zawsze.

– A czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie, Kit?

– Oczywiście – odparła, całkiem zaskoczona jego pytaniem. – Czy nie wyrosliśmy razem?

– Czy to jedyny powód?

– Mało ci, że przez tyle lat widziałam w tobie brata? Opuścił rękę.

– Rozumiem. Bratu nie można pozwolić dotykać swych piersi i brzucha.

– Ty wciąż o seksie!

– Osądzaj mnie, proszę, z większą subtelnością niż swojego Szefunia.

Nie wytrzymała. Zaczęła mówić podniesionym głosem:

– A niby gdzie i kiedy miałam się nauczyć tych wszystkich subtelności? Moje całe doświadczenie seksualne sprowadza się do jednej nocy z Worem i muszę przyznać, że było okropne. – Zamilkła. Wyznała mu wreszcie prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. – I dopóki nie spotkałam cię tutaj, nic nie ciągnęło mnie do pójścia do łóżka z mężczyzną.

Napięcie ustąpiło z ogorzałej twarzy Juda. Poglądził ją po włosach.

– Posłuchaj mnie, Kit. Powinniśmy zrobić coś naprawdę ważnego, ważnego dla nas obojga. Powinniśmy popłynąć na Wyspę Wielorybów. Ta wyspa tylko z daleka wydaje się ponura i odpychająca. Faktycznie są tam miejsca precudnej urody. A gdy już wybierzemy dla siebie jedno z nich, postaram się naprawić szkody, jakie wyrządził ci Ivor.

– Czy to oznacza, że popłyniemy tam, aby się kochać?

Kiwnął głową. Patrzył na nią z rozczuleniem, jakie może wzbudzać tylko dziecko. – Tak, Kit. Nabrała powietrza w płuca.

– Ale przecież o tym nie można decydować tak... z zimną krwią... na chłodno...

– Najdroższa Kit, zaufaj mi. To na pewno nie stanie się z zimną krwią.

Czułość, z jaką to powiedział, paradoksalnie, przestraszyła ją.

– Przez całe lata ty i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. I tylko przyjaciółmi. Czy nie obawiasz się, że idąc do łóżka, możemy coś zepsuć, sprofanować tamtą przyjaźń?

– A czy pamiętasz ten dzień, gdy zabłądziliśmy w lesie? Wówczas zaufałaś mi, a ja cię wyprowadziłem. Zaufaj mi i teraz, Kit. O to tylko cię proszę.

– Do diaska, niech będzie – odparła w stylu czternastoletniej Kathrin, machając ręką.

– Nigdy nie wątpiłem w twoją odwagę. Lecz nagle opanowały ją wątpliwości.

– A co będzie, jeśli nie spodoba mi się to i już na dobre znienawidzę seks? Możliwa też jest sytuacja odwrotna: polubię go i stanę się kobietą niesytą zmysłowych rozkoszy. Przecież nie jesteśmy w sobie zakochani. Wracam jesienią na uniwersytet, a ty też pójdziesz swoją drogą. I co? Powiemy sobie: „dziękuję, było bardzo przyjemnie” i pomachamy na pożegnanie ręką?

– Kit, mówisz jak pani profesor, analitycznie i wnikliwie, a twoje rozumowanie jest wzorem logiki, precyzji i dyscypliny.

– Nie ucz mnie, jak mam myśleć! Gdybym nie wprowadziła logiki i dyscypliny do mojego życia, nadal bym pracowała na pół etatu jako kucharka w podrzędnej restauracji w Toronto.

– Byłaś kucharką?!

– Musiałam chwycić się pierwszej lepszej pracy, gdy twój ojciec wylał moją matkę.

– Wylał ją? Przecież była najlepszą w świecie gospodynią. Wszystko w domu grało jak w orkiestrze chicagowskiej.

– Ivor przyznał się ojcu, że spał ze mną i już na drugi dzień znalazłyśmy się obie z matką na bruku.

Twarz Juda wciąż wyrażała skrajne oszołomienie.

– Twoja matka była przez całe życie związana z Thorndean...

– Umarła na zapalenie płuc w rok później. Do samej śmierci czyniła mi wyrzuty.

– Mój Boże! Więc, mając zaledwie siedemnaście lat, straciłaś wszystko: Wora, mnie, swój dom, zabezpieczenie materialne, a na koniec matkę.

– Czy wobec tego nadal się dziwisz, że lękam się Wyspy Wielorybów? Odnalazłam cię, Jud, i nie chcę utracić dla jakiejś tam przelotnej rozkoszy.

Zacisnął usta.

– Nie mówimy o niczym takim. To ciebie pragnę, a nie twego ciała. I możesz zyskać więcej, niż boisz się stracić.

Tajemniczo zabrzmiały te słowa, lecz ona myślała o czymś innym.

– A jeśli popłynę tam z tobą, lecz w ostatniej chwili rozmyślę się, to czy spełnisz moją prośbę?

– Tak.

Kiedyś ufała mu bez granic i wiedziała, że nadal może mu ufać.

– Wszystko nas wiedzie ku tej wyspie – ciągnął Jud. – Lecz do niczego nie chcę cię zmuszać. Wybór należy do ciebie.

Mogła go teraz poprosić, żeby ją pocałował. Bez wątpienia uczyniłoby to decyzję łatwiejszą. Zamiast tego patrzyła na Judę bez słowa. Nie chciała zostać w celibacie do końca swego życia. Pragnęła wyjść za mąż i mieć dzieci. Dzieci oznaczały miłość fizyczną. Z kolei warunkiem miłości fizycznej w jej przypadku było przewyciężenie strachu przed mężczyznami.

– Zgadzam się.

Przyjął jej decyzję bez szczególnej reakcji.

– Proponowałbym więc spakować się i wsiadać do łodzi już teraz, zanim tamci się obudzą.

– Będę gotowa za godzinę. Czy zostawimy wiadomość dla Garry'ego?

– Oczywiście. – Spojrzał na zegarek. – Spotykamy się w tym miejscu o szóstej.

Wróciwszy do swojego domku, Kathrin przede wszystkim urządziła sobie kąpiel w miednicy. Umyła się od stóp do głów, długo szorując swoje ciało. Wiedziała, jaką bieliznę mężczyźni lubią w takich sytuacjach. Włożyła jednak najzwyczajszą, która jednak miała tę zaletę, iż dawała ciepło. Na koniec wciągnęła gumowe buty.

Stanowczo nie wyglądała na kobietę, która zrobiła to wszystko, by za godzinę czy dwie oddać się mężczyźnie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spotkali się zgodnie z umową, o szóstej przy baraku stołówki. Jud zabrał strzelbę, którą miał teraz przerzuconą przez plecy, jak powiedział, dla odstraszenia młodych i starych misiów. W lewej ręce trzymał kanister z paliwem, z prawego zaś ramienia zwisała mu torba ze sprzętem fotograficznym. Pokrzepiona myślą, że nie utożsamiał wyprawy na wyspę tylko i wyłącznie ze sprawami seksu, powitała go miłym uśmiechem.

– Dostrzegam pewne innowacje – rzekł, przyglądając się jej ustom. – Bardzo szczęśliwie dobrany kolor szminki.

Oczywiście zarumieniła się.

– Skromny substytut koronkowej nocnej koszuli.

– Wziąłem butelkę wina, gar przyrządzonego przez Pam strogonowa i większy namiot. Informuję też, że wyspa tonie w kwiatach. A poza tym nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. – Tak mniej więcej rodzice uspokajają swoje dzieci wybierające się na egzamin. Wsiedli do łodzi, Jud włączył motor i chwytając za ster, skierował się ku zachodniemu brzegowi wyspy, gdzie, jak nadmienił, widział wygrzewające się w słońcu morsy. Wiatr rozwiewał mu krucze włosy, a z niebieskich oczu biła szczerą radość. Wyglądał na szczęśliwego.

Zgasili motor, zanim dobili do brzegu. Chodziło o to, by nie przestraszyć morsów, które porozkładały swoje oliwkowozielone i płowo-brunatne cielska na przybrzeżnej skalnej platformie. Imponujące kły samców zdawały się przypominać śmiercionośne lance, jednak wtopione w tłuste szyje łby, ozdobione zagiętymi ku tyłowi szczecinami wąsów i pozbawione śladu małżowin usznych, posiadały dobroduszny wygląd. Prawie zupełnie bezwłosa, bardzo gruba skóra starych osobników była sękata i pokryta bliznami, co wskazywało na walki stoczone z białym niedźwiedziem lub orką. Pośród tych zwałów tłuszczu i mięsa baraszkowały młode, choć, jak to u morsów, ruchy ich były niezgrabne i ociężałe. Kathrin uznała, że całe to towarzystwo wygląda bardzo sympatycznie, a gdy patrzyła na samice, dobrze wiedząc, jaką czułą opieką potrafią otoczyć młode i z jaką pogardą śmierci występują w ich obronie, ogarnęło ją wzruszenie. Wylądowali w małej, osłoniętej od wiatru zatoczce. Po lewej zaczynało się i hen ciągnęło pasmo schodzących do morza klifów, które mogły przypominać fronton katedry gotyckiej lub przywodzić na myśl ostrokół strzegący zamek czarnoksiężnika.

– Chodź, pokażę ci białozory – powiedział Jud, biorąc ją za rękę.

Przeszli pas piasku, a potem wąskim przesmykiem pomiędzy skałami wydostali się na łagodne zbocze, niby polanę. Kathrin aż wykrzyknęła z zachwytu. Szła oto po dywanie z traw, wrzosów, żółtych kwiatów, podobnych do maków, i różowych wyżlinów. W powietrzu unosiły się subtelne aromaty. Szum bliskiego morza upodabniał ten zakątek do jakiejś wyspy na Morzu Egejskim.

– Wiedziałem, że docenisz urok tego miejsca – powiedział Jud z jakimś chłopcym zadowoleniem.

Patrzyła na kwiaty, które jej obiecał, i czuła ciepło słoneczne na twarzy. Jud pochylił się, by wyjąć z torby aparat, i słońce zabłysło w jego kruczonych włosach. Znała tego mężczyznę lepiej niż kogokolwiek innego na świecie, a jednak jego ciało było jej obce, podobnie jak ciało przechodnia na ulicy. Łączył ich przecież przez tyle lat siostrzano-braterski związek. Czy jeśli mu się odda, zasypie tym przepaść dzielącą ją od niego? Ustanowi harmonię w miejsce dysonansów?

Jud spojrzął na nią i uśmiechnął się.

– Wyglądasz, jakbyś rozwiązywała jakiś bardzo trudny naukowy problem.

Jego uśmiech przeciął ostatnie więzy, które ją jeszcze krępowały.

– Czy pomożesz mi się rozebrać?

Ujęła go za serce rozbrajająca prostota tych słów. Wyprostował się i dołączył swoje dłonie

do jej dłoni odpinających guziki, haftki i błyskawiczne zamki.

A kiedy już stanęła naga, biały kwiat wśród kwiatów tej łąki, zajął się swoim ubraniem, również prosząc ją o pomoc. Zgodziła się, ale czyniła to z taką wzruszającą nieporadnością, że gdyby polegał tylko na jej inicjatywie, trwałoby to do zachodu słońca.

Nie wstydziła się swoich ciał, właściwie znali je bardzo dobrze. Tyle że jeszcze nigdy ich ciała nie znalazły się w jednym i tym samym kręgu wzajemnego pożądania.

Rozwinał śpiwór. Przypominał, przez swą nagość, pradawnego człowieka, przygotowującego na noc legowisko.

Położyła się na plecach i spojrzała w niebo. W górze szybował białozor. Ptak, którego los wytypował na świadka jej erotycznej inicjacji. Postanowiła zapomnieć o nocy z Ivorem.

Tamta noc nie liczyła się już, była tylko koszmarnym przeżyciem, a może snem...

Pozwoliła, by rozchylił dłonią jej uda. Pozwalała mu na wszystko. Czowała tylko przyjemność i żadnego strachu. Chłonęła żar jego języka. Błękit nieba mieszał się z błękitem oczu Juda.

Nie wzdrygnęła się, kiedy powiodł jej dłoń ku ostatecznemu wtajemniczeniu. A potem, z niecierpliwością, która ją zdumiała, nakierowała spęczniała męskość kochanka w centrum własnej istoty, w głębię swego pożądania. Zafalowali, westchnęli i stopili się w ekstazy ruch. I dopiero gdy wznieśli się powyżej tego białozora, uczeplonego nieboskłonu, Jud krzyknął i trysnął w nią całą swoją miłością, której nadmiar gorącym strumieniem oblał jej uda i pośladki.

Uspokajali się i utulali najczulszymi pieścizotami. Słońce już dawno skryło się za klify, choć nadal trwał dzień, ten długi dzień, który miał trwać aż do jesienno-zimowej nocy.

Już będąc na granicy snu, powiedziała:

– Dziękuję, Jud. Dałeś mi tak wiele. Uwolniłeś mnie od przeszłości. Teraz czuję się wolna. Odnalazłam siebie. Jesteś najwspanialszym z kochanków.

– Jesteś najwspanialszą z kochanek – wyszeptał czule. – Czekałem na tę chwilę przez całą wieczność.

Pocałowała go. Czowała się szczęśliwa.

Obudziła się w ramionach Juda, a kiedy ubrali się i zasiedli do śniadania, strogonow z winem smakował niczym pokarm bogów. Od morza dochodził szum fal pomieszany z wrzaskiem mew. Słońce mile łaskotało w szyję.

– Chyba musimy związać manatki – powiedział w pewnym momencie Jud. – Garry prosił mnie, żebym pomógł mu dzisiaj w ważnym matematycznym zadaniu. Mamy liczyć foki na pływających krach. Podobno statystyka to nieodzowny element w badaniach nad światem zwierząt.

Wiedziała, iż muszą wracać, że jest to nieuchronne, ‘ a równocześnie z chęcią zostałyby w tym miejscu do końca swego życia. Garry i Pam, Karl i Calvin – wszyscy oni wydawali się jej teraz z perspektywy Wyspy Wielorybów jakby mieszkańcami innej planety.

Spojrzała na Juda. On również miał w sobie jakąś dwoistość. Jud, platoniczny przyjaciel młodości, skrył się za Judem-kochankiem, mężczyzną, w którego mocy leżało doprowadzanie jej do stanu zmysłowych upojeń.

I cóż ona dobrego zrobiła? Straciła przyjaciela, czy jednak naprawdę zyskała kochanka?

Po półgodzinie byli spakowani, ale nim wsiedli do łodzi, Jud położył dłoń na jej ramieniu i rzekł z naciskiem:

– Rozchmurz się, Kit. To, co się tutaj stało, nie skończy się tylko dlatego, że opuszczamy to miejsce.

– Wszystko w porządku. Wcale się nie chmurzę.

– Zostało nam jeszcze trochę lata.

Ale arktyczne lata są krótkie, zimy zaś długie i ostre.

– Lepiej już wsiadajmy. I pamiętaj o morsach. Przepłyn obok nich możliwie najciszej.

W powrotnej drodze wymienili zaledwie kilka słów, lecz kiedy dopłynęli do przystani i

wysiedli na ląd, Kathrin poczuła nagle przyływ rozpacz.

– Jud, wybac mi, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje. Tam było tak cudownie. I teraz, kiedy patrzę na nasz obóz, jezioro i piarżyste wzgórza wokół, nie czuję już tej więzi, prawie utożsamienia się z tym krajobrazem, co dawniej, a choćby jeszcze wczoraj. Objął ją i pocałował.

– Ja również po tym, co się stało, nieco inaczej patrzę na świat. I dlatego zrobię wszystko, przysięgam, by w żadnym z nas nie zamilkła ta nowa nuta.

Czy tego właśnie się obawiała? Że wizyta na Wyspie Wielorybów okaże się tylko krótkim i jednorazowym epizodem w jej życiu?

Poszła do siebie, by zostawić plecak i trochę się ogarnąć, a kiedy weszła do stołówki, zastała tam już wszystkich, włącznie z nieuchwytnymi ostatnio Karlem i Calvinem. Jud i Garry rozmawiali o czymś przy oknie. Wszystkie głowy odwróciły się w jej kierunku, a spojrzenia i miny wydawały się świadczyć o wszechwiedzy patrzących.

Zaczerwieniła się, z irytacją myśląc, iż zachowuje się jak oblubienica rankiem po nocy poślubnej.

– Cześć wszystkim. Pam, teraz rozumiem, dlaczego Garry porwał cię na Wyspę Wielorybów. Zachwycające miejsce!

Calvin poruszył się na krześle.

– Nieoficjalnie słyszałem – rzekł, odchrząkując – że pierwszy samolot z pocztą, jaki tu przyleci, przywiezie na pokładzie cały zastęp piękności z doktoratami. Na pewno któraś z nich, a pamiętacie: blondynka, niebieskie oczy, wyzbyta pruderii, zgodzi się spędzić ze mną dzień w tej arkadii.

– Wierzmy, że tak będzie’ – powiedział Garry z poważną twarzą, lecz głosem pełnym serdecznej przyjaźni. – A w związku z tym samolotem, Jud. Oczekujemy go jeszcze przed południem. Wiem, że leci później do Ellesmere, gdzie, jak słyszałem przez radio, pojawiło się stado karibu. Podobno same piękne sztuki, o nadzwyczaj bogatych rosochach. Mówię ci o tym, bo wiem, co cię interesuje.

– A kiedy samolot wraca? – Jud już wydawał się podniecony perspektywą „polowania” na karibu.

– Za dwa, trzy dni. Wiele zależy tu od pogody. Jud poszukał oczami Kathrin.

– Kit, muszę tam polecieć. Potrzebuję zdjęć karibu do mojej książki.

Zdobyła się na uśmiech. Nie mogła tu przed wszystkimi zdradzać prawdziwego stanu swej duszy.

– Oczywiście, że musisz. Obowiązki to obowiązki.

– Cieszę się, że rozumiesz.

– Ja też mam swoje obowiązki i muszę wracać do moich reniferów. Mogły oddalić się o całe kilometry od miejsca, gdzie je ostatnio zostawiłam. – Przeniosła wzrok na Garry’ego. –

Wyruszę, gdy tylko się spakuję.

– Weź broń. Ten niedźwiedź może pojawić się znowu.

– Wezmę. Pam, zapakuj mi, proszę, coś do żarcia na kilka dni.

Nie mogła już dłużej wytrzymać w stołówce, więc wstała i wyszła na dwór. Chciała pokazać wszystkim, że wyjazd Juda ani ją ziębi, ani grzeje. Owszem, pokazała, ale to, że jest wściekła i zła z tego powodu.

Znalazszy się w swej chatce, natychmiast zaczęła się pakować. Po pięciu minutach rozległo się pukanie do drzwi.

Wszedł Jud.

– Przyszedłem ci powiedzieć, Kit, że jeśli nie możesz znieść mojego wyjazdu, to zrezygnuję z tej wyprawy.

– Nie mogę znieść twojego wyjazdu? A czy to my składaliśmy sobie jakieś przysięgi?

Uczyniliśmy zaledwie coś, co jest znane człowiekowi od chwili jego pojawienia się na tym świecie. To wszystko. Więc leć i pstrykaj sobie te swoje karibu. – Nagle jednak

sarkastyczna mina zniknęła z jej twarzy i chwyciła go za rękę. – Tylko bądź ostrożny.  
– Gdy tylko wrócę, wezmę od Garry’ego twoje namiary i popędzę w tundrę. Ty również bądź ostrożna, Kit. Niedźwiedzie, gdy już gdzieś się zjawia, niechętnie opuszczają daną okolicę.

– Czy pocałujesz mnie na pożegnanie? – szepnęła. Nie trzeba mu było powtarzać tego dwa razy. Złączyli się w namiętym pocałunku.

O dziesiątej wylądowała żółta awionetka, wypakowano pocztę, pilot coś przekąsił i już o jedenastej Jud wzbił się w powietrze.

Wracając z lądowiska, Kathrin spotkała Garry’ego.

– Mamy tu dzisiaj większy ruch niż na lotnisku w Toronto – powiedział. – Właśnie dostałem wiadomość, że za kilkanaście minut zjawi się u nas twój przyjaciel, Ivor, z dwoma geodetami. Wylądują ulla nabrania paliwa.

– Ivor nie jest moim przyjacielem. Kiedyś ci powiem, jak się zachował wobec mnie, gdy ty i Pam byliście na Wyspie Wielorybów.

Garry poważnie pokiwał głową, po czym znikł w budynku radiostacji. Kwadrans później nad obozem rozległ się warkot śmigłowca.

Kathrin poczuła, że musi spotkać się z Ivozem. Chciała nieodwołalnie zamknąć przeszłość i rozstrzygnąć wszystkie związane z nią sprawy.

Spotkali się przy beczkach z benzyną.

– Dzień dobry, Kathrin – powitał ją Ivor z przyjaznym uśmiechem na twarzy. – Dzięki, że przysłaś mi wtedy z odsieczą.

– Myśl, jak uważasz. Faktycznie powodowałam się jedynie tym, by Jud za zabicie cię nie trafił ponownie do więzienia.

– W takim razie szczerść za szczerść. Jud zakochał się w tobie, zanim poszedł do więzienia, zanim jeszcze zaczął się golić. Zadowolona?

Cofnęła się o krok.

– Nie okłamuj mnie, Ivor. Dość już mnie nadręczyłeś. Wzruszył ramionami.

– Nie przemawia przeze mnie zazdrość. Nigdy cię nie pragnąłem, Kathrin. Nie jesteś w moim typie. Ale sprawiała mi przyjemność świadomość, że Jud cierpi męki zazdrości, a ty świata bożego poza mną nie widzisz.

– Mylisz się. Ja i Jud byliśmy przyjaciółmi. Wprawdzie najlepszymi w świecie, ale tylko przyjaciółmi.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Naprawdę wszystko mi jedno, czy mi uwierzysz, czy nie. Wybawiłaś mnie z cholernego kłopotu, więc po prostu w dowód wdzięczności zdradziłem ci tę tajemnicę. – Spojrzał w kierunku śmigłowca. – A teraz bywaj. Mam na pokładzie dwóch facetów, których muszę dostarczyć na określone miejsce w wyznaczonym czasie.

– Żegnaj, Ivor.

Nie powiedziała „do widzenia”. Nie chciała go już więcej spotkać. Miał zostać tylko wspomnieniem. Bardzo przykrym, wyjątkowo bolesnym wspomnieniem.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy tylko Kathrin odnalazła stado, rozbiła namiot i zjadła kolację, bezzwłocznie skontaktowała się przez radio z Garrym, by podać mu swoje położenie.

– Żadnego śladu niedźwiedzia – poinformował ją poprzez szумы i trzaski. – Uważaj na pogodę, Kathrin. Nad morzem wisi mgła i wiatr może przesunąć ją w głąb lądu. Jeśli dosięgnie i ciebie, nie ruszaj się z namiotu ani na krok. Odbiór.

– Zrozumiałam. Powiedz Pam, że jej spaghetti palce lizać. Do zobaczyska.

Zarzuciła na jedno ramię chlebak, na drugie strzelbę i poszła obserwować stado. Już w pierwszej minucie dostrzegła, że Daisy najzwyczajniej zamierzała zostać matką. Była niespokojna, ruchliwa, pełna najdziwniejszych pomysłów. Szefunio, rzecz jasna, nie mógł tego nie zauważyć i jak przystało na doświadczonego samca, skoncentrował swoje wysiłki na oddzieleniu jej od stada. W końcu udało mu się to, a kiedy on i Daisy znaleźli się w czymś w rodzaju intymnej przestrzeni, zaszedł ją od zady i wspiąwszy się na tylne nogi pokrył ją z gwałtownością i dzikością jakiegoś mitologicznego prabyka.

Mimo że nie lubiła i nie usprawiedliwiała tego rodzaju analogii, Kathrin pomyślała o mężczyźnie, który zabrał ją na Wyspę Wielorybów. Być może Ivor nie kłamał i Jud faktycznie był w niej zakochany. „Czekałem na tę chwilę całą wieczność”, powiedział tam na wyspie. Poruszyły ją te słowa, ale przyjęła je wówczas jako poetycką metaforę. A jeśli były wyrazem dłuższej i beznadziejnej miłości?

Rano Szefunio powtórzył swój akt zapłodnienia, po czym, zmęczony, legł na trawie.

Wydawało się, jakby spełnił to najważniejsze i w gruncie rzeczy jedyne zadanie, do którego został powołany i które usprawiedliwiała jego żywot.

Po południu niebo zaczęło się chmurzyć, lecz mgła nie nadchodziła. Kierunek wiatru w dolinie zdawał się zresztą wykluczać taką możliwość. Stado opanował bezruch, jakby apatia. Kathrin w przeciągu trzech ostatnich dni spała skandalicznie mało i poczuła senność. Postanowiła umościć sobie miejsce pod skałą i w pozycji siedzącej, ale możliwie komfortowej, zdrzemnąć się pół godzinki. Usadowiła się, zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

Obudziła się w całkiem innym świecie. Spowijał ją gęsty mleczny opar. Mgła zasłaniała niebo, wzgórza, dolinę, reny i najbliższą okolicę. Wzrok gubił się w nieprzeniknionym tumanie. Widać było tylko trawę pod nogami, kępkę czerwonego szczawiu i dwa czy trzy kamienie. Świat skurczył się do rozmiarów więziennej celi, a cała reszta przepadła, utonęła we mgle.

Co gorsza, nie dochodził do uszu Kathrin żaden dźwięk. Cisza była tak absolutna, że aż niesamowita. Uderzyła się dłonią po udzie i dopiero odgłos tego klapnięcia przywrócił jej pełne poczucie rzeczywistości.

Teraz musiała odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytanie – co robić?

Nie ruszaj się z namiotu, ostrzegł ją Garry. Ale jej namiot był o godzinę drogi stąd. Miała zerowe szanse odszukania go w takim mleku. Spojrzała na zegarek. Okazało się, że zamiast pół godziny spała sześć godzin z kwadranssem. Godzinę temu powinna była, zgodnie z umową, skontaktować się z Garrym.

Nie będzie jej szukał, to było poza wszelką dyskusją. Bowiem jeżeli ktoś decyduje się wyruszyć komuś na ratunek, to musi mieć przekonanie, że akcja ma jakieś, choćby niewielkie, ale przecież realne szanse powodzenia.

Sięgnęła do chlebaka. Zostało jej tylko pół paczki sucharów i pół butelki wody. Jeżeli mgła utrzyma się dłużej, przykładowo przez kilka dni, co nie byłoby bynajmniej żadną anomalią na tej szerokości geograficznej, to może być z nią bardzo źle.

Usiadła i podjęła próbę przeanalizowania sytuacji, w jakiej się znalazła. Pamiętała mniej więcej swoje usytuowanie wobec stron świata, gdyż z tyłu miała skalną ścianę, o którą się

oparla, zasypiając. Zatem, patrząc na wprost, patrzyła w kierunku zachodnim. Biorąc to wszystko pod uwagę, mogła zostać na miejscu lub wyruszyć w drogę powrotną do obozu, albo wreszcie próbować odnaleźć swój namiot, w którym zostały wszystkie jej zapasy. Po chwili głębokiego zastanowienia wybrała powrót do obozu, bo, po pierwsze, wielokrotnie tego lata chodziła tą drogą i znała ją niemal na pamięć, po drugie zaś, znalezienie namiotu wydawało się w tych warunkach skrajnie nieprawdopodobne. Mogłaby przejść obok niego w odległości pięciu metrów i nie zauważyć go. Pozostanie na miejscu, jakkolwiek rozsądne, zmuszało do bierności, a Kathrin wiedziała, że przedłużająca się bezczynność przyprawi ją o szaleństwo.

Poza tym miała strzelbę. Nienawidziła broni i wzięła ją pod przymusem. Jednak w tej sytuacji strzelba mogła się okazać bardzo przydatna. Gdy tylko uzna, że zbliżyła się do obozu, będzie strzelać na alarm, dając znać o swojej obecności. Bóg da, że ktoś usłyszy strzały.

Zjadła dwa suchary, popiła je wodą i wyruszyła w drogę. Kierując się pamięciową mapą terenu, wiedziała, że musi najpierw zejść po zboczu w dolinę, a potem skręciwszy w lewo, posuwać się pograniczem łąki i kamienistych usypisk. Później przesmykiem w sąsiednią dolinę i tak dalej. Na wszelki wypadek co pięćdziesiąt, sto metrów układała z kamieni charakterystyczne kopczyki, znaki swojej marszruty. Ktokolwiek będzie jej szukał, zorientuje się, że to ona je zrobiła.

Ale już po godzinie takiego poruszania się po omacku w srebrzysto-mlecznej ciemności spotkała ją przykra niespodzianka. Stała oto na brzegu wąskiego strumienia, który w żadnym wypadku nie mógł w tym miejscu przecinać jej drogi. Czyżby więc spełniło się to najgorsze i w jakimś sensie nieuchronne i zgubiła się we mgle?

Zimny dreszcz przebiegł jej ciało i wstrząsnęła się. Wokół niej, niewidoczna, rozciągała się obojętna na jej los tundra. Kathrin była tu tylko intruzem, dziwacznym przybyszem, którego życie lub śmierć, radość lub cierpienie nie poruszą nawet w najmniejszym stopniu tych piargów, bagnisk i traw.

Napełniła butelkę wodą, przeskoczyła przez strumień, bo tak nakazywała jej pamięciowa mapa, i poszła dość błotnistą łachą gołej ziemi. Rosły tu rzadkie rachityczne krzewiny, które po pewnym czasie ustąpiły miejsca mchom i porostom. Fascynujące w tej wędrówce było to, że krzew, kamień, wszystko, co widziała, pojawiało się jakby zza zakrętu, nagle, w ostatniej chwili. Wyobraźnia Kathrin podsunęła jej obraz gigantycznego polarnego niedźwiedzia, który czeka na nią z otwartą paszczą. A ona, widząc na taką odległość, na jaką widziała, bez wątpienia weszłaby prosto w tę paszczę.

Intuicją i wyobraźnią człowiek niekiedy zdolny jest przewidzieć bieg wydarzeń. Tak właśnie stało się w tym przypadku. W pewnej bowiem chwili, idąc po kamieniach, Kathrin natrafiła nogą na pustkę. Nie była to wprawdzie paszcza gigantycznego niedźwiedzia, ale paszcza ziemi, która czekała na swoją ofiarę. Kathrin zachwiała się i zaczęła spadać.

Uderzyła głową o coś twardego i straciła przytomność. Białą ciemność zastąpiły czarne ciemności.

Gdy odzyskała świadomość, poczuła ostry ból w kolanie i nieco mniejszy głowy. Gdzie była? Zapewne leżała na dnie rozpadliny, a na pobliskich skałach gromadziły się kruki. Dotknęła lewej skroni dłonią i stwierdziła, że cały lewy policzek ma lepki od krwi, która ściekała wąską strużką we włosy. Na szczęście kolano nie było rozharatane i dawało się dotknąć. Oderwała więc od koszuli szeroki i długi pas materiału i bardzo mocno obwiązała nim potłuczone miejsce. Dźwignęła się. Ból wydawał się do wytrzymania.

Nie zgubiła ani chlebaka, ani strzelby. Miała piekielne szczęście.

Musiała teraz wydostać się z tej dziury. Okazało się to łatwiejsze, niż mogła oczekiwać.

Skała z jednej strony tworzyła coś w rodzaju tarasowatych schodów, wprawdzie wysokich, ale możliwych do pokonania.

Stanąwszy na górze, Kathrin uświadomiła sobie jedno. Teraz już całkiem nie wiedziała, gdzie jest północ, a gdzie południe, gdzie wschód, a gdzie zachód. Pozostawało jej tylko zdać się na los szczęścia.

Szła już, kuśtykając, około godziny, gdy nagle jej twarz, niczym najczulszy z radarów, odebrała tchnienie wiatru. Po jakimś czasie tchnienie przeszło w powiew i mgła zaczęła rzednąć. Pojawiły się jakieś zamazane kształty i ledwie uchwytny kolory. Wszystko to jednak stopniowo nabierało realności i ostrych konturów. Zasłona uniosła się. Świat ukazał się równie świeży, ponętny i piękny, jak w pierwszy dzień stworzenia. Na niebie świeciło słońce, kąpiąc się na ziemi w jezioru sąsiadującym z obozem.

Była uratowana. Przywiodła ją tutaj ręka Opatrzności. Stała na wzgórzu tylko sto metrów od miejsca, gdzie zazwyczaj wylaniała się, wracając do obozu z tundry.

Nagle ujrzała na tle piargów jakiś ruchomy kształt. Jakiś człowiek wspinał się mozolnie po zboczu, najwyraźniej kierując się w głąb łądu. Nie miała większych trudności z rozpoznaniem go. To był Jud, który śpieszył jej na ratunek. Podążył za mgłą, niczym partyzant za ariergardą nieprzyjacielskiej armii.

Zacząła machać rękami, krzyczeć w jego kierunku. I wówczas ujrzała drugi poruszający się kształt, dużo jaśniejszy. Śladami Juda podążył niedźwiedź polarny, i mimo że człowieka i zwierzę dzieliło jeszcze przynajmniej dwieście metrów, odległość ta topniała w oczach. Najwyraźniej zwierzę polowało na człowieka.

Jęknęła i przycisnęła dłoń do serca. Ale nie było czasu na rozpacz. Zacząła krzyczeć co sił w płucach. Niestety, wiatr od morza porywał jej słowa i niósł w przeciwną stronę. Jud nawet nie podniósł głowy.

Wspinał się, nieświadomy niebezpieczeństwa, jakie mu zagrażało i z każdą sekundą zbliżało się doń od tyłu, ona zaś uświadomiła sobie to, co dotąd zaledwie przeczuwała.

Kochała Juda i nie mogła go stracić. Był dla niej całym światem. Słońcem, ziemią, powietrzem.

Czyż można żyć bez powietrza?

Rzuciła się z boczem w dół. Biegła, nie zważając na kamienie i skalne występy, nie czując bólu kolana. Coś obijało się o jej biodro i plecy. Strzelba! Jak mogła o niej zapomnieć! Zatrzymała się niczym alpejka w narciarskim szusie. Nabila broń trzęsącymi się rękami i wypaliła w powietrze.

Huk wystrzału rozszedł się echem po całej okolicy.

Jud podniósł głowę. Dostrzegła białą plamę jego twarzy. Pomachał jej ręką, po czym zmienił kierunek, trawersując zbocze. Ale nie spojrzął za siebie, nie zobaczył niedźwiedzia. Ten był tuż-tuż. Przynajmniej tak to wyglądało w perspektywnym skrócie.

Nacisnęła spust po raz drugi. Tym razem Jud, którego zainteresował powód tego nowego wystrzału, zatrzymał się i obejrzał. Musiał dostrzec tropiącego go drapieżnika, gdyż skoczył za najbliższy występ skalny. W jego rękach pojawił się kij. Nie, to nie kij, tylko strzelba. Kathrin odetchnęła.

Rozległy się w krótkich odstępach cztery wystrzały. Jud strzelał w powietrze, na postrach. Niedźwiedź zatrzymał się, pomedytował sobie, po czym zawrócił i oddalił się ciężkim kłusem w kierunku zatoki.

Już spokojna i szczęśliwa, choć obolała i krańcowo wyczerpana, Kathrin usiadła ciężko na kamieniu. Ale zaraz poderwała się i ruszyła w dół. Musiała wyjść naprzeciw swojemu ukochanemu, a miłość dodawała jej sił.

Spotkali się na środku piarzystego zbocza. Miejsce to, wyjątkowo wolne od kamieni, porastały trawy i alpejskie zioła, jak gdyby wspomagana przez przypadek przyroda chciała im wynagrodzić ciężkie przeżycia ostatnich godzin.

– Kit, musisz wyjść za mnie – wydyszał, przyciągając ją ku sobie. – Boże, co się stało z twoją twarzą?

– Nic poważnego – odparła, tuląc się do niego. – Po prostu upadłam.

– Co za talent, jeśli chodzi o bagatelizowanie spraw poważnych. Nie podoba mi się to rozcięcie na skroni.

– Jeśli już mowa o sprawach poważnych, to zdaje się, że powiedziałeś, iż chcesz się ze mną ożenić.

– Oczywiście, że chcę – rzekł lekko poirytowanym tonem, wciąż przyglądając się ranie na jej czole.

– Dlaczego?

– Czy musisz zadawać mi tego rodzaju pytania? Czy nie jest dla ciebie oczywiste i zrozumiałe samo przez się, że kocham cię, Kit?

– Nic, co wiąże się z tobą, nie jest dla mnie oczywiste i zrozumiałe samo przez się.

– Zakochałem się w tobie, pamiętam, gdy miałem czternaście lat.

A więc Ivor nie kłamał...

– W dziesięcioletniej dziewczynce?

– Dobry powód, by nie odsłaniać swojej miłości ani przed nią, ani przed światem. A potem miałaś kolejno dwanaście, czternaście, szesnaście lat i durzyłaś się do szaleństwa w moim starszym bracie. Skrzywdziłbym cię, gdybym swoim wyznaniem włączył cię w obręb jakiegoś trójkąta.

Jak wiele teraz rozumiała!

– Więc moje zeznania w sądzie musiały być dla ciebie straszliwym ciosem. , .

– Cóż, okazuje się, że człowiek to odporna bestia. Pęknie mu serce, a przecież potrafi jakoś zaszyć je sobie i żyje.

– I nadal mnie kochasz? – spytała drżącym ze wzruszenia głosem.

Rozpogodził się.

– Najdroższa Kit, ja mam tylko jedną miłość. Wybuchła, gdy miałem czternaście lat, i zgaśnie dopiero wraz z moją śmiercią.

Szepnęła jakieś słowo, ale sama nawet nie wiedziała jakie.

– Rzecz jasna – kontynuował – próbowałem wyleczyć się z mojej miłosnej choroby. Bez rezultatu. Nie pomogły długie miesiące spędzone w Górach Skalistych, nie pomogła gorączkowa i naprawdę pasjonująca krzątanka przy kręceniu filmu. Założyłem w ciemno, że musiałaś studiować biologię, i nie omyliłem się. A kiedy już wpadłem na twój trop, doprowadził mnie on do tego miejsca. I wówczas doszło do naszego spotkania w stołówce. Zamiast ślicznej dziewczyny, ujrzałem piękną młodą kobietę, kobietę, która jakby od zawsze była w mojej krwi, w moich kościach i w moich nerwach.

Patrzyła na niego przez mgłę zasnuwającą jej oczy.

– Widzę cię, Jud... Ty naprawdę istniejesz... I chyba musisz się ogolić.

– Kiedy Garry powiedział mi, że nie zgłosiłaś się przez radio o umówionej godzinie, takie drobnostki jak golenie przesunęły się, rozumiesz, na plan dalszy.

– Jesteś dla mnie wszystkim, Jud. Lecz dopiero musiałam zobaczyć tego idącego twoim śladem niedźwiedzia, aby zrozumieć, że tracąc ciebie, straciłabym cały świat.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że kochasz mnie? – zapytał z lękliwą ostrożnością człowieka, który dostał całą walizkę pieniędzy i boi się, iż mogą to być fałszywe banknoty.

– Jesteś całym moim życiem, moją duszą, moją doskonałością...

Odchylił głowę i spojrzał w niebo. Jego błękitne oczy rozblęskły słonecznym blaskiem.

– I wyjdiesz za mnie?

– Tak, mój przyszły mężu. Zrobiłabym to zaraz, gdyby był tu ksiądz i tak bardzo nie bolała mnie głowa.

– Zniosę cię stąd na rękach.

– Jestem dzielną dziewczynką. Wytrzymałam tyle, to przejdę również te kilkaset metrów.

– W takim razie powiem ci coś, co powinno dodać ci sił. W poczcie, którą dostarczono nam samolotem, znajdował się list od prywatnego detektywa, którego wynająłem kilka miesięcy temu. Donosi mi, że zebrał dość dowodów potwierdzających winę Ivora, by skazać go na

długoletnie więzienie. Ale nie wykorzystam ich przeciwko niemu, jeżeli uda mu się wpłynąć na ojca, by zrezygnował z tej kopalnianej inwestycji. Rozumiesz, klasyczny szantaż. Nie miała nic przeciwko tego typu szantażom.

- Jud, jesteś cudowny. Ivor stanie na głowie, by ojciec zmienił swoją decyzję.
- Chyba jednak wezmę cię na ręce. Wyglądasz tak, jakbyś za chwilę miała upaść.
- To ze szczęścia kochany... z wielkiego szczęścia...